

Rok XXIV

Nr e-5 (239)

Maj 2010

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego



WYCIECZKA **BENELUX**

LUXEMBURG BELGIA - HOLANDIA

- ◆ **LUXEMBURG**
- ◆ **BRUKSELA**
- ◆ **BRUGIA**
- ◆ **GANDAWA**
- ◆ **HAGA**
- ◆ **AMSTERDAM**

TERMINY :

01.06 – 06.06.2010
29.06 – 04.07.2010
10.08 – 15.08.2010
07.09 – 12.09.2010

Cena: 1.200 PLN

W CENIE :

- ◆ HOTEL
- ◆ ŚNIADANIA
- ◆ PILOT-PRZEWODNIK
- ◆ AUTOKAR
- ◆ UBEZPIECZENIE



WYCIECZKA

BORT Oddziału Wrocławskiego PTTK, Rynek-Ratusz 11/12

tel. 71 344-39-23, 71 34-383-31,

e-mail: przewodnicy@pttk.wroclaw.pl, bort@pttk.wroclaw.pl

NA SZLAKU

Turystyka - Krajoznawstwo - Góry

Czasopismo Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego

SPIS TREŚCI

Z naszego regionu

- Szlak Starej Wody po Starym Zdroju w Wałbrzychu (4) *Tadeusz Kalicki* 4
 Wzdłuż Odry między Głogowem a Wrocławiem (2) *Krzysztof R. Mazurski* 5
 Najdawniejsze dzieje Namysłowa *Włodzimierz Oźga* 7

Ojczyste szlaki

- Z Tczewa do Elbląga *Marcin Husak* 9
 Trzy dni na Białorusi *Marcin Szczudło* 10

Trasa miesiąca

- Połną drogą z Kletna do Bolesławowa *Bartosz Skowroński* 13

Globtroter

- Wenecja – miasto na wodzie *Julia Ryba* 14
 Mongolia. Dzikie Zachód na Dalekim Wschodzie *Krzysztof Juszczyk* 17
 Skąd się wzięła karawaka? 20

Z turystycznych kręgów

- Na Turbaczu – śladowo i śnieżnie *Juliusz Wystouch* 21
 Międzynarodowy Dzień Przewodnika Turystycznego *Krzysztof Tęcza* 23
 Rok Marianny Orańskiej *W.R. (wywiad)* 25
 Konkurs fot. „Zabytki Światowego Dziedzictwa w Polsce” *Szymon Bijak* 26
 Historia KG ŚWISTAK *Jan Białek* 27
 44. Rajd PTTK Szlakiem Walk I Armii WP o Kołobrzeg *Krzysztof Tęcza* 29
 Imprezy na terenie Księstwa Świdnicko-Jaworskiego i okolicy 30
 Zmiany przebiegu szlaków w KPN 31

Ekologia na szlaku

- Kierowco, pozwól płazom cieszyć się wiosną! *Jacek Bożek* 32

Poradnik turysty

- Koszmar na Babiej Górze *Michał Zieliński* 33

Na kolekcjonerskim szlaku

- Co kolekcjonujemy? (3) *H.P.* 35

Sylwetki „Na Szlaku”

- Stanisław Kierbedź *Andrzej Rumiński* 36
 Słowiński Park Narodowy 37

Recenzje, nowości

- O Twierdzy Kłodzkiej w „Zeszytach...” *Grzegorz Pisarski* 38
 „Ziemia” w zasięgu ręki *Andrzej Wielocha* 39

Listy, opinie, dyskusje

- OKP stopień brązowy – Poznań i WPN *Krzysztof Tęcza* 41

Na okładce: Wiosną na tatrzańskim szlaku. Fot. Piotr Szatyński

Tadeusz Kalicki

Szlak Starej Wody po Starym Źdroju w Wałbrzychu (4)

Kościół „Zmartwychwstania Pańskiego” w Wałbrzychu przy ul. Marconiego 2 należy do Dekanatu Wałbrzych Północ w rzymskokatolickiej Diecezji Świdnickiej. Parafia ta została utworzona 1.03.1972 r. Budowla powstała z inicjatywy miejscowych ewangelików w latach 1867-1870 według projektu J. H. Stülera z Berlina. Wzorcem była klasyczna bazylika filarowa, stosowana przez kościół chrześcijański już w pierwszym tysiącleciu. Fasada świątyni posiada trzy portale prowadzone do nawy głównej oraz naw bocznych, różę, czyli rozetę, stanowiącą ważny element artykułujący rytmikę architektury świątyni od frontu. Kościół posiada nawę główną, doświetloną rozetą w fasadzie frontowej nad wejściem oraz wyprutymi oknami w ścianach bocznych nad nawami bocznymi oraz nawy boczne. Charakterystyczną cechą tej świątyni, podobne jak kościołów starochrześcijańskich, jest drewniany strop w nawie głównej. Nawy boczne oddzielone są od nawy głównej kolumnami o przekroju kwadratowym. Prezbiterium



nieco podwyższone, zamknięte zostało pię-

cioboczną absydą. Tu w trzech oknach umieszczone są witraże wykonane w latach 80. XX w. Empora została podparta dwoma kolumnami. Całość zaprojektowano bardzo oszczędnie, ale jednocześnie z dużym wycuciem i podkreśleniem symbolu, jakim jest wspólnota wiernych. Na to składają się nietynkowane ściany z cegły ceramicznej, rozeta, portale, a we wnętrzu wspierające filary, tęczą oraz ołtarz jako tron Chrystusa. Organy pochodzą z 1871 r., wykonane przez znaną firmę świdnicką Schlag und Sohne. Instrument posiada dwa manualy z registrami po obu stronach (14 szt.). Prace konserwacyjne tych organów przeprowadzono w 1970 r.

Świątynię wzbogacono architektonicznie dostawioną strzelistą wieżą o wysokości 30 m na planie kwadratu, nakrytą hełmem iglicowym o pokryciu z blachy miedzianej. Wieża jest istotną dominantą tej sakralnej budowy. W 2006 r. wykonano wymianę pokrycia dachowego na wieży z zasto-



sowaniem blachy miedzianej, a w rok później starannie oczyszczono ceglane ściany wieży i fasady głównej.

Funkcję pierwszego katolickiego proboszcza tej parafii piastował w latach 1972-1988 ks. prałat Bogusław Werwiński. Po nim tą funkcję pełnili: w latach 1988-1998 – ks. kanonik Stanisław Mieszala, w latach 1998-1999 – ks. kanonik Józef Adamowicz, a obecnym proboszczem od 1999 r. jest ks. prałat mgr Wiesław Brachuc.



Krzysztof R. Mazurski

WZDŁUŻ ODRY MIĘDZY GŁOGOWEM A WROCŁAWIEM (2)

KOTOWICE – jedna z najstarszych wsi rycerskich nad Odrą w Pradolinie Głogowskiej. Zabudowania folwarczne z końca XIX w. Cmentarzysko kultury łużyckiej. Nad Odrą ciąg umocnień ziemnych z ruinami schronów bojowych z lat 30. XX w.

KSIĘGINICE – wieś u południowej krawędzi Pradoliny Wrocławskiej. Park krajobrazowy nad strumieniem, urozmaicony drzewostan, nadto w podszycie m.in. bluszcz i kruszyna.

LENARTOWICE – wieś w Pradolinie Wrocławskiej. W zespole podworskim skromny pałac z 1 poł. XIX w., w zapleczu zaniedbany park ze stawem.

LESZKOWICE – wieś w Pradolinie Głogowskiej, wzmiankowana w 1305 r. Dworek z końca XIX w., ok. 2 km od wsi znajduje się średniowieczne grodzisko.

LIPOWIEC – wieś nad Baryczą w Pradolinie Głogowskiej. Wśród podmokłych łąk grodzisko z X-XII w. z wałem do 4 m wysokości.

LUBIĄŻ – wieś nad Odrą w Pradolinie Wrocławskiej, o tradycjach osadniczych sięgających neolitu. Ok. 1163 r. Bolesław Wysoki, drugi książę Śląska, osadził tu cystersów, do których należał do czasu sekularyzacji w 1810 r. Pozyskali oni dla miejscowości prawa miejskie w 1249 r., utracone z powodu braku rozwoju w 1844 r. Powstał tu jeden z najważniejszych na Śląsku ośrodków kulturalno-naukowych po XVIII w. Zamożność klasztoru skłoniła do przebudowy na przełomie XVII/XVIII w. całego zespołu, dziś tworzącego zabytek najwyższej klasy. Obejmuje on przede wszystkim główny korpus, a w nim gotycki kościół NMP (zdeprawowany wskutek przekształcenia go w 1945 r. w radziecki lazaret, po renowacji udostępniony do zwiedzania), klasztor z lat 1668-99 i pałac opatów, o fasadzie 228 m łącznej długości, szerokość bloku 118 m. W części wewnątrz oca-



Sala Książęca w lubiążskim klasztorze. Fot. Piotr Dacko

łały, obecnie po konserwacji, barokowe dekoracje, w tym piękne freski M. Willmanna i F. A. Schefflera oraz malowidło plafonowe K. F. Bentuma, rzeźby F. J. Mangoldta (szczególnie wspaniała Sala Książęca) – niektóre otwarte dla gości, reszta niezagospodarowana. Naprzeciw kościół św. Jakuba z lat 90. XVII w. i zabudowania gospodarcze. Na skarpie nadodrzańskiej barokowy kościół św. Walentego z lat 1734-43 na miejscu starszego. Wyposażenie to dzieła wymienionych artystów. Ścieżka Przyrodniczo-Historyczna, 6 km długości, prowadzi od klasztoru przez Lasek św. Jadwigi nad Odrę i z powrotem. Na północ zachód rezerwat florystyczny „Odrzyńska”. Wokół niego ścieżka przyrodnicza, 3 km długości.



Przełom Ścinawski

MALCZYCE – wieś gminna, znana od XII w., położona w dolnej części Pradoliny Wrocławskiej, na lewym brzegu Odry, dawna własność klasztoru trzebnickiego. Rozwój zapoczątkowany na przełomie XVIII/XIX w. uruchomieniem portu obsługującego Drogę Węglową z Zagłębia Wałbrzyskiego oraz ukształtowaniem się lokalnego węzła kolejowego. Funkcjonuje przeprawa promowa. Neogotycki kościół p.w. Niepokalanego Poczęcia NMP pochodzi z 1905 r.; cerkiew prawosławna (d. kościół ewangelicki z 1907 r.), przed którą cztery rzędy lip drobnolistnych.

MAZUROWICE – wieś wielodrożnicowa na granicy Wysoczyzny Średzkiej i Pradoliny Wrocławskiej, w dolnej części tej drugiej. Resztki zespołu pałacowego i jego parku z kilkoma przedstawicielami gatunków egzotycznych. Kościół to wynik przebudowy w latach 1980-85 kaplicy z 1933 r.

MIEKINIA – wieś gminna na pograniczu Wysoczyzny Średzkiej i Pradoliny Wrocławskiej, wspomniana w 1335 r. W 1944 r. oddział Stalagu VIIIA Görlitz. Gotycki kościół z końca XV w., przebudowany w 1710 r. Dość interesujące wyposażenie barokowe. W zespole podworskim skromny pałac z XVIII/XIX w., za nim częściowo zdewastowany park krajobrazowy, w tym ładna aleja lipowa. Dość liczne domy z przełomu XVIII/XIX w.

NABORÓW – wieś w Pradolinie Wrocławskiej. Kościół św. Anny z XV i przebudowany na pocz. XVIII w. – nawa o konstrukcji szkieletowej, oszkarpowane prezbiterium murowane. Wyposażenie z czasu przebudowy.

NAROCZYCE – wieś w Obniżeniu Ścinawskim. Zespół dworski z XVIII w. składający się z pałacu i spichlerza; park pałacowy.

ORSK – duża wieś w Pradolinie Głogowskiej. Dwór z XVII w., przebudowany na dość okazały pałac neorenesansowy w XIX w., po 1945 r. w postępującej ruinacji, podobnie jak rozebrany pod koniec lat 50. kościół ewangelicki. W latach 60. powstała Huta Miedzi „Cedynia”, produkująca wlewki i druty. Ścieżka przyrodnicza „Orsk”, 4,5 km, prowadzi na zachód od wsi nad starorzeczem Odry.

Cdn.

Najdawniejsze dzieje Namysłowa

Poprzednikiem powstałego w XIII w. miasta Namysłowa na prawie niemieckim była osada położona po prawej stronie Widawy, na północ od późniejszego śródmieścia, zwana od czasów lokacji Starym Miastem lub rzadziej Starym Namysłowem. Składała się ona z dwóch części: alodium (później zwanego folwarkiem), stanowiącego pełną własność pana feudalnego i gruntów użytkowanych przez poddanych chłopów. Początkowo Stare Miasto było własnością księcia i reprezentowało typ miejski osadnictwa „obyczajem wolnych gości”, zwanego również osadnictwem polskim, stanowiąc skupisko ludzi wolnych, półwolnych i niewolnych trudniących się przeważnie zajęciami miejskimi, tzn. rzemiosłem i handlem. O tym, że było to miasto w znaczeniu gospodarczym, świadczy fakt, iż mieszkańcy powstałego później miasta lokacyjnego nazwali tę osadę Starym Miastem lub Starym Namysłowem (w dokumentach łacińskich „antiqua civitas”, „Antiqua Namslow”). Wynika z tego, że musiało mieć ono cechy miejskie, choć nie można wykluczyć, iż jego mieszkańcy zajmowali się nie tylko zajęciami miejskimi, ale również rolnictwem i rybołówstwem oraz zawodami pokrewnymi.



Namysłowski zamek

Niewiele wiemy o początkach osady pierwotnie zwanej Namysłowem. Stan zachowania źródeł nie pozwala podać bardziej dokładnej chronologii jej powstania. Za datę taką trudno przyjąć rok 1040, który znajdujemy w kronice W. Liebicha. Nie należy uznawać jej za wiarygodną, choćby dlatego, iż publikacja ta pochodzi z późnego okresu (druga połowa XIX w.), a ponadto autor opisując najdawniejsze dzieje Namysłowa popełnia wiele błędów. Wspomnianą datę należy traktować raczej w kategoriach legendarnych niż typowo historycznych. W pracy, napisanej w drugiej połowie XVIII w., S. J. Ehrhardt, powołując się na dokumenty z 1205, 1213 i 1226 r., wspomina o niejakim Janie z Namysłowa, który miał być proboszczem kościoła Św. Marii Magdaleny we Wrocławiu. Niestety, akty te pod żadną postacią nie zachowały się do naszych czasów i z tego względu trudno uznać te wzmianki za historycznie pewne wiadomości o Namysławie.

Pierwszy, zachowany dokument, w którym wspomina się o Namysławie, jest datowany na 1206 r. Dowiadujemy się z niego, że Gerard, opat klasztoru Św. Wincentego we Wrocławiu, po dokonaniu pewnej zamiany z księciem Henrykiem Brodatym, nadaje kościołowi klasztornemu w Psim Polu las, staw i pola między mostem na Widawie, aż do drogi wiodącej do Namysłowa. Wiadomość o Namysławie, pochodząca z powyższego dokumentu, można by uznać – jak twierdzą niektórzy historycy – za pierwszą wzmiankę o tej osadzie, gdyby akt ten nie okazał się falsyfikatem. Jego nieautentyczność przyjmuje cała literatura przedmiotu. Trudno dziś rozstrzygnąć, czy jego treść jest oparta na jakimś zaginionym dokumencie autentycznym. Pismo aktu pochodzi najwcześniej z końca XIII w. Mógł on powstać przed 1305 r. – w związku ze sporem o kościół, toczącym się między mieszczanami wrocławskimi, braćmi Konradem i Tilo, synami Gobla, a klasztorem w Psim Polu.

Nie budzi natomiast żadnych zastrzeżeń co do autentyczności dokument z 19.06.1233 r., na mocy którego kapelan książęcy Idzi (Egidius) z Namysłowa otrzymał od Hermana Balka, prokuratora



Fragment murów miejskich

tych terenach. Na kilka lat przed powstaniem planu osadzenia Krzyżaków na pograniczu Prus, ale już zapewne w związku z zamiarem ich wykorzystania w planowanych polskich krucjatach na Prusy, w 1222 r. książę Henryk I Brodaty nadał wspomnianemu Zakonowi ujazd zwany Lasusino lub Lasusice. Początkowo Krzyżacy nie zajęli się organizacją nowouzyskanych posiadłości, położonych z dala od interesujących ich terenów, na ziemiach stosunkowo odległych od głównych szlaków gospodarczych. Dopiero w 1233 r. Herman Balk – przebywający we Wrocławiu w związku z przygotowaniem krucjaty na Prusy – wystawił (na podstawie zezwolenia Henryka Brodatego) omówiony już przywilej dla kapelana Idziego. Ostatecznie po najeździe mongolskim z 1241 r. Zakon zdecydował się na likwidację swych namysłowskich posiadłości.

Omawiając wczesne dzieje Starego Miasta należy również wspomnieć o istniejącym do dziś murowanym kościele, którego prezbiterium pochodzi z XIII w. Najwcześniejszą wiadomość o tej świątyni znajdujemy w dokumencie z 30.03.1286 r., w którym pojawia się proboszcz Dytryk ze Starego Miasta. Wzmianka ta wskazuje nam jednocześnie, że kościół staromiejski pełnił już wówczas funkcję centrum parafii. Zapewne była to rozległa parafia, co było charakterystyczne dla świątyń powstałych przed kolonizacją średniowieczną. Kościół w Starym Mieście stał się świątynią filialną w pewien czas po lokacji miasta Namysłowa, kiedy to miejski kościół został ośrodkiem parafii w jej dawnych granicach. Niewykluczone też, że świątynię tę, będącą początkowo własnością księcia, obsługiwał wspomniany już książęcy kapelan Idzi.

Fot. Maciej Maśliński

Wieża bramna



Zakonu Krzyżackiego w Prusach i Polsce, uprawnienie do przeniesienia na prawo niemieckie obszaru pogranicznego dokoła późniejszego miasta Rychtała i osiedlenia tam Walonów („Romani”) lub Niemców i innych gości. Teren ten obejmował osady Lasusino (Lasusice) i Bandlouici. Obie nazwy, zgodnie z ówczesnym polskim obyczajem, rozciągnięto na dość znaczne terytorium, gdzie następnie pomieściły się lokacyjne miejscowości: w Lasusicach – Sadogóra i Krzyżowniki, w Bandłowicach – Rychtał i nowożytny już Zgorzelec.

Osadnictwo walońskie na wschód od Namysłowa wiąże się z posiadłościami krzyżackimi na

Marcin Husak

Z Tczewa do Elbląga

W podróży z Prudnika na północ Polski zwiedziliśmy w Tczewie wraz z przewodnikiem Muzeum Wisły, gdzie urządzono wystawę poświęconą pierwszej w Polsce szkole morskiej. Powstała ona właśnie w tym mieście, a dopiero z czasem została przeniesiona do Gdyni. Obiad w „Pasi-brzusku” przedłużył się na tyle, że nie zdążyliśmy wejść do gotyckiego opactwa pocysterskiego ani Muzeum Diecezjalnego w Pelplinie. Obie perełki zostawiliśmy sobie na następny raz. Przynajmniej wiemy, że mamy gdzie wracać... Niedzielną eskapadę zakończyliśmy na zamku w Gniewie. Gotycka warownia została wzniesiona na przełomie XIII i XIV w. na planie kwadratu z basztami w narożach. Jedna z nich, najpotężniejsza, pełniąca „rolę” malborskiego Zamku Wysokiego, została rozebrana. Budowla w ciągu wieków pełniła różne funkcje. Była siedzibą komturów krzyżackich, starostów gniewskich (jednym z nich był Jan III Sobieski), a po przebudowie w XIX w. znajdowały się w niej koszary, wieżenie i ostatecznie magazyn. Po pożarze w 1921 r. obiekt niszczał, aż do lat 60., kiedy dokonano jego konserwacji. Obecnie jest on siedzibą licznych instytucji.

Mieliśmy szczęście, że kiedy przyjechaliśmy do zamku, roiło się w nim od „panów braci”. Odbywał się akurat turniej utrzymany w XVII-wiecznej konwencji. Staliśmy się widzami pokazu umiejętności dawnej jazdy. Dodatkowo pracownicy urządzonej w warowni restauracji prezentowali się w strojach z epoki. Aby do niej trafić, trzeba było przejść przez dziedziniec z głęboką studnią. Ciekawe doznanie – być obsługiwanym przez „szlachcica”... Czekały nas teraz trzy nocelegi w bursie szkolnej w Elblągu. Pokoje były małe, wyposażone na tyle komfortowo, że mile zapisały się w pamięci. Następne dni spędziliśmy na poznawaniu urokliwych zakątków woj. warmińsko-mazurskiego.

Tydzień rozpoczęliśmy od zwiedzenia Elbląga z przewodnikiem Jolantą Bulak. Pierwsze kroki skierowaliśmy do klasztoru i gotyckiego XIII-wiecznego kościoła dominikanów. Został on zaadaptowany na Galerię Sztuki El. Wokół budowli wyeksponowano abstrakcyjne dzieła współczesnych twórców, które kontrastują z ciężką i surową bryłą świątyni. Następnie udaliśmy się do gotyckiej katedry pw. św. Mikołaja, której początki sięgają XIII w. Wzrok turystów przykuwa jej ponad 95-metrowa wieża zwieńczona latarnią z iglicą. Zanim weszliśmy do wnętrza, spojrzeliśmy na pomnik Jana Pawła II, który błogosławi... lewą ręką... Jak się okazało po przekroczeniu progu, świątynia nie posiada prezbiterium. Nad tryptykiem w ołtarzu głównym umieszczono późnogotycką rzeźbę Ukrzyżowania Chrystusa. Najcenniejszym zabytkiem jest jednak boczny ołtarz z lewej strony, przedstawiający Pokłon Trzech Króli, w którego dolnej partii umieszczone zostały hermy z relikwiami. Stoi przed nim cenna chrzcielnica z brązu datowana na 1387 r.

Po opuszczeniu świątyni udaliśmy się tzw. ścieżką kościelną, łączącą ul. Mostową i Świętego Ducha, do Muzeum Archeologiczno-Historyczne. Wiodące między kamienicami przejście z rozpiętymi nad nim gotyckimi łukami jest unikatem na skalę krajową i jednym z nielicznych oryginalnych średniowiecznych elementów architektonicznych w Elblągu. Placówka znajduje się na terenie dawnego podzameczka krzyżackiej warowni. Zbuntowani przeciwko Zakonowi mieszczenie po zdobyciu zamku w połowie XV w. spalili go. Obawiali się, że gdyby Fortuna ich opuściła, obiekt przejdzie pod dawne panowanie. Na dziedzińcu placówki można zobaczyć samotnie stojącą kolumnę – jedyną pamiątkę po obiekcie, oraz zrekonstruowane domostwo wikingów z pobliskiego Truso. Warto dodać, że w XIX w. w Elblągu odnaleziono tzw. Księgę Elbląską, będącą najstarszym zbiorem dawnego zwyczajowego prawa polskiego. Została ona sporządzona na przełomie XIII i XIV w. w języku niemieckim na użytek władz krzyżackich. Zwiedzenie muzealnych wnętrz pozostawiliśmy na przyszłość...

Następnie ul. Wigilijną udaliśmy się pod XIV-wieczną Bramę Targową. W czasie wolnym zainteresowani mogli spojrzeć na panoramę miasta roztaczającą się z tarasu widokowego, zorganizowanego na jednej z najwyższych kondygnacji. Dostępu do niego broni posąg bohaterskiego piekarczyka, który ocalił niegdyś miasto przed nieprzyjacielskim najazdem.

Od Redakcji: Dodajmy, że tegoroczny XL Centralny Zlot Krajoznawców „CZAK ‘10” odbędzie się 18-22. sierpnia właśnie w Elblągu.



Andrzej Szczudło

Trzy dni na Białorusi

Wychowałem się na Sejneńszczyźnie, skąd bliżej do Litwy niż do Białorusi. Białoruś zaczęła mnie interesować dopiero kiedy doszedłem, że stamtąd pochodził mój najdalej odszukany przodek. Mój prapradziadek Paweł Szczudło urodził się w parafii Teolin gdzieś około 1810 r. Dla mnie ten Teolin był wirtualną miejscowością, miejscem na mapie, które chciałem odwiedzić i bliżej poznać. W pierwszym odruchu internauty napisałem e-maila do gazety polonijnej „Głos znad Niemna”. Wkrótce na jej łamach ukazał się mój anons o chęci nawiązania korespondencji z kimś z Sopoćkin lub okolicy. Odzew był tylko jeden, od Stanisława Zmitrowicza. Korespondowałem z nim kilka lat, dopytując się o możliwości dotarcia na Grodzieńszczyznę kajakiem. Nie wydawało mi się to możliwe. Stanisław zapraszał mnie do Sopoćkin od kilku lat, ale dopiero w 2009 r. udało mi się z tego zaproszenia skorzystać. Przeznaczyłem na to trzy dni. Nie doczytałem się w internecie, że na jednorazowy wyjazd na Białoruś zaproszenie nie jest potrzebne. Dlatego po zaopatrzeniu się w zaproszenie wyrobione mi przez Stanisława stanąłem przed okienkiem Konsulatu Republiki Białorusi w Białymstoku. Okazało się, że gdybym zabrał się za formalności wcześniej, wiza kosztowałaby 25 euro. Teraz musiałem zapłacić dwukrotność tej kwoty. Warto jednak ten koszt było ponieść, bo już następnego dnia wiza była gotowa.

Z Białegostoku, niewczesnym rankiem, wystartowaliśmy z żoną, bo ona była moją jedyną towarzyszką podróży. Nie chciało nam się zarywać nocy, w końcu w czasie urlopu wyspanie się więcej jest warte niż rygorystyczne wypełnienie narzuconego sobie harmonogramu. Na granicy obsłużono nas dosyć szybko, bez zbędnych formalności. Szybko też osiągnęliśmy granice Grodna, skąd – kierując się telefoniczną wskazówką Stanisława – drogą z ronda na lewo bez trudu dotarliśmy do Sopoćkin. Po drodze, wijącej się po bezleśnych wzgórzach, podziwialiśmy krajobraz. Sopoćkinie okazały się być miasteczkiem nadzwyczaj skromnym; nie było widać tu nic szczególnego poza kościołem na wzgórzu, pięknym domem kultury i kilkoma wyższymi niż inne budynkami w centrum. Na poznanie ich przyszło trochę poczekać, bo już w chwilę po dotarciu do miasteczka dostaliśmy się w progi gościnnego domu Stanisława. Po przywitaniu z nim i jego



Ostasza - chatki tonące w kwiatkach



Kanał Augustowski po remoncie

rakter. Była to stara wioska z przewagą drewnianych chat jak z poprzedniej epoki. Drewniane domki miały jednak swój urok; niektóre pomalowane, osadzone wśród wysokich kęp kwiatów. Gdzieś tam widać było pojedynczych ludzi. Pytaliśmy o Szczudłów, ale nikt takiego nazwiska tu nie kojarzył. Po zrobieniu serii zdjęć wyruszyliśmy dalej, tym razem według uznania Stanisława. Jechaliśmy wzdłuż Kanału Augustowskiego, zatrzymując się przy kolejnych urządzeniach. Instalacje wodne sprzed półtora wieku robiły wrażenie. I tu dygresja. Przed oczami stanęła mi nasza kajakowa wyprawa Czarną Hańczą, odbyta w 2004 r. Kiedy w strugach deszczu mknęliśmy gdzieś w okolicach Mikaszówki, przeoczyliśmy moment skrętu w stronę jezior augustowskich. Popłynęliśmy prosto, za most, gdzie wkrótce potem ukazał się wodny młyn. Jacyś ludzie powstrzymali wtedy nasze zapędy, mówiąc, że tam dalej jest niezeglowna część kanału prowadząca do Białorusi. – Kiedy uda się zobaczyć Kanał Augustowski po stronie białoruskiej... – pomyślałem sobie. I oto po pięciu latach jestem na Białorusi. To, co mnie najbardziej zaskoczyło, to jakość techniczna kanału, doskonała. Widać było ślady niedawnej renowacji koryta rzeczno i remontu urządzeń. Z zaciekawieniem oglądaliśmy czterokomorową śluzę w Niemnowie, zwodzony most i pomnik z 1939 r. Napis na pomniku, po polsku, zawierał odwołanie do Boga w obliczu wojennej pożogi.

Kiedy obeszlśmy wszystko, Stanisław zachęcał nas do odwiedzenia prywatnego muzeum Kanału Augustowskiego. Drzwi były jednak zamknięte. Zaskakiwała cisza i absolutny brak turystów – rzecz niespotykana w sierpniu w podobnie atrakcyjnym miejscu w Polsce. Po Niemnowie trasa wiodła do miejscowości Sonicze. Za nią, na drodze do wsi Czertok zatrzymaliśmy się przy pomniku, który upamiętniał żołnierzy radzieckich, broniących mostu na Kanale Augustowskim, w dniu ataku Niemiec na Związek Radziecki. Po zrobieniu kilku fotek nasz przewodnik zaproponował trasę do wsi Dombrowka. Ujrzelśmy tam zaporę, u dołu której kapała się grupa miejscowych turystów. O wiele atrakcyjniej wyglądało jeziorko utworzone w górnej części zapory, z rowerami wodnymi i domkami letniskowymi na brzegu. Podobno często są one wynajmowane na imprezy typu imieniny, jubileusz czy zwykłe spotkanie przy grillu. Popołudniowy objazd okolicy zakończyliśmy powrotem do Sopoćkin, tym razem z innej strony miasteczka. Nie było jeszcze ciemno, więc zdążyliśmy odwiedzić miejscowy cmentarz. Już pobieżny ogląd kilku nagrobków nie pozostawiał wątpliwości, jaka społeczność tu zamieszkuje. Przeważały nazwiska polskie i to znane z okolic, gdzie zamieszkujemy: Zarzecki, Guzewicz, Kmita, Stankiewicz, Bartoszewicz, Marcinkiewicz...

Następnego dnia zaplanowaliśmy zwiedzanie Grodna. Nasze potrzeby Stanisław potraktował bardzo serio i do oprowadzenia po mieście poprosił młodego historyka Wołodę. Wkrótce okazało się, że jest to kuzyn jego żony. Zwiedzanie zaczęliśmy od centrum, a pierwszym zabytkiem na trasie była bazylika katedralna św. Franciszka Ksawerego – od 1991 r. katedra. Pierwotnie był to kościół jezuitów sprowadzonych do Grodna przez Stefana Batorego. Elewacja prezentowała się okazale. Jak się później dowiedzieliśmy, niedawno była remontowana z funduszy polskiego Ministra Kultury i Dzie-

żoną Tatianą zostaliśmy poczęstowani obfitym obiadem. Nie zasypiając gruszek w popiele wyruszyliśmy w plener. Stanisław wiedział z moich listów, że najbardziej chciałem zobaczyć wieś Ostasza, gdzie w 1832 r. szewcem był brat mojego prapradziadka Wincenty Szczudło. Tam też skierowaliśmy swoje kroki. Było to ledwie kilka kilometrów od miasteczka. W Ostaszy zaraz od drogi rzucał się w oczy kompleks budynków gospodarczych – coś jak nasz PGR. Zajechaliliśmy tam, bo Stanisław miał tam znajomą, Polkę, która pełniła funkcję magazynierki. Po chwili miłej rozmowy i zrobieniu pamiątkowych fotek jechaliśmy dalej. Druga część Ostaszy miała zupełnie inny cha-



Kościół w Teolinie, widok od strony cmentarza

mek oraz cerkiew śś. Borysa i Gleba. Obiekty te oglądaliśmy tylko z zewnątrz, ale z pewnością na tym nie poprzestaniemy przy następnej wizycie w tym mieście. Sporo emocji dostarczyła wizyta w domu Elizy Orzeszkowej, który po kilkakrotnych zmianach przeznaczenia ponownie jest siedzibą muzeum naszej sławnej pisarki. Nie było tu problemu z przewodnikiem mówiącym po polsku. Urodziwa blondynka z widoczną przyjemnością zaznajamiała z eksponatami z czasów pani Elizy. Spacer po Grodnie zajął kilka godzin i pozwolił wyrobić opinię o mieście. Bez wątplenia jest to ośrodek bardzo atrakcyjny turystycznie i, co też jest ważne, utrzymany we wzorowej czystości. Z zazdrością oglądaliśmy nie tylko czyste ulice w centrum, ale nawet zaułki zieleni wokół zamków, gdzie pojedynczego śmiecia trudno uświadczyc. Jak oni to robią – chciałoby się zapytać, mając na względzie doświadczenia z naszego kraju.

Trzeci dzień pobytu na Białorusi przeznaczaliśmy na grodzieński bazar. Po paru godzinach wertowania straganów odeszliśmy lekko rozczarowani. Asortyment nie odbiegał od tego z naszych bazarów. Nie udało się znaleźć nic specyficznego, godnego zabrania do Polski. Skończyło się na zakupie kompletu glinianych garnków i kilku lnianych serwetek. Krótki pobyt na Białorusi wzbudził chęć na kolejny przyjazd. Tym razem marzy mi się wyprawa transgraniczna kajakiem po Kanale Augustowskim, przed kilku laty solidnie odremontowanym dzięki osobistemu wstawiennictwu prezydenta Łukaszenki. Aby było to możliwe, muszą stopnieć lody polityczne pomiędzy Polską a Białorusią, a przede wszystkim musi zostać wyremontowany niedrożny odcinek kanału po polskiej stronie.

Fot. Aldona Szczudło



W domu kultury w Sopoćkiniach kultywuje się ludowe tradycje (autor tekstu pierwszy z lewej).

dzictwa Narodowego. Fotografowaliśmy ją z różnych pozycji. W środku obiektu oczy nasze ucieszyła tablica pamiątkowa, poświęcona zabitym i pomordowanym harcerzom z Szarych Szeeregów, którzy w czasie II wojny walczyli w obronie Grodna. Nawiązań do czasów wojny było w Grodnie więcej, a najbardziej rzucał się w oczy pomnik-czołg ustawiony na postumencie w centrum miasta. Zaraz za nim zwracała uwagę strzelista architektura siedziby Teatru Dramatycznego. Obok niej przeszliśmy w okolice nadniemeńskie, gdzie były aż trzy ważne obiekty do zwiedzania: Stary i Nowy Zamek

Bartosz Skowroński

Polną drogą z Kletna do Bolesławowa

Miejscowością, którą warto odwiedzić podczas pobytu w Kletnie, znanego za sprawą Jaskini Niedźwiedziej, jest z pewnością Bolesławów. Obecnie wieś, w przeszłości miał on prawa miejskie. Bolesławów to jedna z kilku wsi, dawnych miast w Sudetach, która szczyci się rynkiem. Do wioski można dotrzeć asfaltową drogą przez Starą Morawę. Warto wybrać jednak inny wariant, polną drogę wiodącą grzbietem bocznej odnogi Młyńska. Droga ta pozwala na odbycie ciekawej i niemęczącej zarazem pieszej wycieczki.

Z Kletna wyruszamy sprzed pierwszego, od strony Starej Morawy, przystanku PKS. Swoją drogą, autobus to tu prawdziwy rarytas. Przechodzimy przez most na Kleśnicy, mijając z lewej zabudowania mieszkalne. Droga prowadzi do góry, skręcając w prawo, po czym przed kolejnym gospodarstwem, które mijamy z prawej strony, odchodzi w lewo. Po kilkunastu metrach z prawej ukazują się nam pozostałości po dawno już opuszczonym budynku – typowy obrazek wyludniających się wsi na Ziemi Kłodzkiej. Idziemy cały czas prosto, przecinając niewielki potoczek. Następnie zostawiając z lewej mały lasek odbijamy po kilkunastu metrach lekko w prawo skos. Droga jest tu mało czytelna.

W tym miejscu warto zatrzymać się dla podziwiania krajobrazu. A jest co podziwiać. Oglądając się za siebie zobaczymy, oprócz zabudowań Stronia Śląskiego, dolinę Kleśnicy z zabudową Starej Morawy. Wyżej zaś wznosi się charakterystyczny szczyt Krzyżnika (701 m). Znajdujące się tam kamieniołomy marmuru dostarczyły surowca na niejeden znany obiekt. Tu można wymienić choćby kompozycje dekoracyjne w Pałacu Kultury i Nauki. Wzniesieniu temu warto się przyjrzeć także z uwagi na to, iż jest to jeden z sudeckich mogotów, czyli ostańców wznoszących się ponad powierzchnię krasowego zrównania.

Po przerwie widokowej ruszamy dalej, podchodząc cały czas łagodnie do góry. Widoczna na prawo góra to Młyńsko. Jej niemieckie nazwy *Mühlberg*, *Mühl Berg* mają zapewne jakiś związek z młynami, których niegdyś sporo funkcjonowało w okolicznych wsiach. Władysław Martynowski*, interpretując nazwę innej *Mühlberg* (taką dawniej nosiła dzisiejsza Młyńska Góra lub Młyńska, sąsiadująca z Borówkową w Górach Złotych), wprost wyjaśnia, iż „Mühl” należy rozumieć jako *młyński*, należący do młyna.

Wędrując po chwili docieramy do prawie prostopadłej drogi polnej. Tu osiągamy najwyższy punkt naszej trasy – około 655 m n.p.m. Skręcamy w lewo, w stronę niewielkiego lasu. To ten sam, który widzieliśmy już wcześniej. Po kilkunastu metrach minimy dużą florystyczną atrakcję – spore skupisko dziewięciosa beżłodygowego (*Carlina acaulis*), potocznie zwanego też ostem górskim. Roślina ta swą nazwę zawdzięczać miała ponoć dziewięciu właściwościom leczniczym. Dziś, niestety, staje się coraz rzadsza w Sudetach. Warto więc się tu na chwilę zatrzymać. Nasza droga prowadzi już cały czas w dół, początkowo łąką, potem lasem. Po chwili z prawej dołącza do inna dróżka. W tym miejscu zza drzew widoczny jest już Bolesławów. Wędrując dalej docieramy do niewielkiej polany z paleniskiem. Po lewej w lesie wznosi się okazała skała, jedna z ładniejszych w okolicy.

Idąc od paleniska dotrzemy po chwili do kolejnej drogi. Skręcamy w nią nieco na lewo. Jednocześnie opuszczamy na dobre las. Po kilkunastu metrach dochodzimy do pierwszych zabudowań. Tu skręcamy w lewo, już na asfaltową drogę. Przekraczamy most na Kamienicy i tak osiągamy przystanek PKS Bolesławów. Stąd do rynku w prawo.

* Interpretacja Władysława Martynowskiego w opracowaniu Zbygniewa Martynowskiego „Interpretacja nazw geograficznych okolic Łądką Zdroju”. Karkonosz sudeckie materiały krajoznawcze 1993 nr 2(9) s. 15.

Julia Ryba

Wenecja – miasto na wodzie

*„Najpiękniejsze miasto świata rzadko rozczarowuje.
Wolę być w Wenecji w deszczowy dzień,
niż w pogodny poranek w każdej innej stolicy”*

[H. Mehrille, 1857]

Podróżując przez górzyste, pokryte jeszcze śniegiem, malownicze tereny Austrii, a potem Włoch, przejeżdżając przez liczne tunele, po wyjechaniu z których rozpościerał się niesamowity górski krajobraz, pełen surowego monumentalnego piękna przyrody, był on najlepszą zapowiedzią tego, dokąd się udawaliśmy, stanowił najodpowiedniejszy przedsmak i kontrast dla tego, co dopiero mieliśmy zobaczyć. Zostawiając za sobą wysokie góry, chłodne powietrze, kręte, pełne tunele trasy, przekraczając długi, jedyny łączący Wenecję ze stałym lądem most *Ponte della Libertà*, obserwując sylwetki wielkich statków i stocznie, dziwiąc się, że to wszystko znajduje się tuż obok



tak magicznego miasta, dotarliśmy na Piazzale Tronchetto (do głównego węzła komunikacyjnego łączącego transport wodny z transportem lądowym), gdzie praktycznie kończy się ruch samochodowy. Dotarliśmy do miasta na wodzie... Panował letni upał, kanały, stare kościoły i nieskończone ciągi pałaców upstrzone były plamkami migocącego śródziemnomorskiego słońca. Ruszyliśmy spacerując wąskimi uliczkami, po niewielkich mosteczkach nad kanałami z kołyszącymi się na wodzie gondolami – ciemnymi, cichymi i dziwnie złowieszczymi, mimo wszystkich swoich romantycznych uroków budzącymi dwuznaczne wrażenia. Mijając niezliczoną liczbę innych turystów, liczne sklepiki i galerie, powoli przyzwyczajaliśmy się do niezwykłości tego miasta, do tego magicznego labiryntu ulic, do spotykanych czasem mieszkańców śpieszących do swoich „zaczarowanych” domów, tak wyróżniających się spośród głośnych i zaciekawionych gości z zewnątrz.

W porównaniu z Rzymem, Londynem czy Paryżem Wenecja jest młodym miastem, jednak niewiele miast zachowało się w tak nieskażonym stanie mimo upływu czasu. Wenecja zbudowana jest na 117 małych wyspach i łączy ze sobą 150 kanałów połączonych przez zaskakującą liczbę 409 mostów, z których tylko 3 przechodzą przez główny kanał. Laguna była prawdopodobnie w niewielkim stopniu zamieszkała w czasach Chrystusa. Po najazdach barbarzyńców w V w. mogły się tu schronić małe grupy uciekinierów (według legendy miasto założono 25.03.421 r.). Pierwszy doża (władca) został wybrany w 776 r. Rządził on luźną konfederacją osad, a nie jednym miastem. Najazdy Franków w V w. zmusiły część mieszkańców laguny do przeniesienia się na Rivus Altus (wysoki brzeg), czyli na grupę łatwiejszych do ochrony wysepek. Z czasem powstało tam Rialto, załóżek obecnej Wenecji, podstawa dla pływających pałaców dnia dzisiejszego.

Do dwóch jedyńskich sposobów, by zwiedzić całą okolicę Wenecji, należy zwiedzanie jej pieszo lub poprzez drogie, lecz warte swej ceny, gondole, wodne autobusy i taksówki – a więc do wyboru mamy

tylko własne nogi lub wodę. By „odetchnąć” od panującego w mieście tłoku wsiedliśmy do *vaporetto* – tramwaju wodnego kursującego Canale Grand, ciągnącego się zygzakiem przez serce starej Wenecji. Ma on długość niemal 4 km i 30-70 m szerokości (głębokość nie przekracza 5 m). Wzdłuż całej trasy ciągną się pałace, których główne fasady skierowane są właśnie w stronę kanału, tak że dobrze widać je tylko z wody. Przejazdźka, niesamowita pod względem widokowym i dźwiękowym, dała niezwykle spojrzenie na codzienne życie Wenecji oraz jej wspaniałą architekturę – zawsze rozpoznawany most Ponte di Rialto, kościół Scalzi (zbudowany przez B. Longhena, architekta kościoła Santa Maria della Salute), kościół San Geremia (tu przechowywane są relikwie św. Łucji, męczennicy z XIV w.), Palazzo Vendramin-Calergi (jeden z najszlachetniejszych, obecnie mieści się w nim Casino, w jednym z jego apartamentów ostatnie miesiące swojego życia spędził Ryszard Wagner), Palazzo Benzon (w XIX w. zamieszkiwany przez księżną Benzon, u której zatrzymywali się wielcy tego świata, m.in. lord Byron), Palazzo Dario (niebezpiecznie przechylony pałac, niecieszący się dobrą sławą wśród Wenecjan, którzy od dawna uważają, że ciąży na nim klątwa), Palazzo Pisani-Grritti (luksusowy hotel wenecki, niemal przytłoczony wspaniałym kościołem Santa Maria della Salute, za którym wylania się Pałac Dożów i Pizza San Marco).

Najpiękniejszy salon w Europie

Samo serce miasta stanowi Plac św. Marka, będący, jak powiedział niegdyś Napoleon, „najpiękniejszym salonem w Europie”. To tutaj znajdują się najwspanialsze zabytkowe budowle miasta – Bazylika św. Marka i Pałac Dożów, ale także zabytkowe kawiarnie i Campanile (dzwonnica) oraz Museo Correr z eksponatami obrazującymi długą historię Wenecji. Jednak wyjątkowość tego placu to przede wszystkim otwarcie na lagunę w kącie południowo-wschodnim, a w tej otwartej i rozległej przestrzeni otoczonej historycznymi pałacami znajdujemy turystów z całego świata, zanurzających się w ogromnej ilości gołębi, które przepełniają miasto. Nie wiadomo, gdzie spojrzeć... Uwagę zwraca Wieża Zegarowa ze skrzydlatym lwem, która oprócz godzin wskazuje fazy księżyca i znaki zodiaku. Łaciński napis głosi: *Liczę tylko godziny szczęśliwe*. Na jej szczycie dzwon i dwóch Maurów, którzy walą weń młotami, a wtedy orszak aniołów i trzech króli na niższej kondygnacji oddaje mechaniczny pokłon MB z Dzieciątkiem. Trudno spotkać w Europie Zachodniej budowlę bardziej zdobioną, z taką architektoniczną i artystyczną wielowiekową spuścizną, niż Bazylika Św. Marka. Kościół ten, będący połączeniem różnych stylów, stanowił przez prawie tysiąc lat grobowiec św. Marka, prywatną kaplicę dożów (władców weneckich). Jej zwiedzanie wydawało się przygniatającym zadaniem, w rzeczywistości było stosunkowo proste, przynajmniej z zewnątrz. Wiele rzekomych skarbów głównej fasady to w rzeczywistości kopie. Repliką są słynne wielkie rumaki z brązu – porysowane prawdopodobnie celowo, aby dobijały światło promieni słonecznych (oryginały wewnątrz) i prawie wszystkie mozaiki, oryginalna jest tylko jedna, przedstawiająca *Przeniesienie ciała św. Marka do Bazyliki* (1260-70). Do interesujących szczegółów należy Porta dei Fiori (Drzwi Kwiatów), element często pomijanej fasady północnej – na łukach widnieje wspaniała scena Narodzenia, a także płaskorzeźba z VIII w., ukazująca 12 Apostołów. Wewnątrz tłum zwiedzających oraz nabożeństwa nie pozwalają na spokojne jej podziwianie – prawie całą powierzchnię Bazyliki (a więc około 4000 m²) pokrywają złotawe mozaiki wzorowane na sztuce bizantyjskiej, podobnie jak cała konstrukcja zaprojektowana na planie krzyża greckiego.

Przez prawie 1000 lat siedzibą panujących w Wenecji dożów, tajnej policji oraz sądu najwyższego był Pałac Dożów (Palazzo Ducale). Mieściło się tu również więzienie miejskie, izba tortur, a także inne instytucje administracyjne. Fasadę pałacu, który jest jedną ze wspanialszych gotyckich budowli, stanowią piękne kolumny, czterolistne ornamenty i zawile wzory marmuru. Wnętrze to prawdziwy labirynt złożonych, przytłoczonych malowidłami pokoi oraz ciemnych, strasznych lochów, w których niegdyś więziono





m.in. słynnego awanturnika z XVIII w., Casanovę. Jednak zwiedzanie zaczęliśmy od spaceru do Ponte della Pagila, z którego mogliśmy podziwiać Ponte dei Sospiri (Most Westchnień) z 1600 r. Jego nazwa pochodzi rzekomo od westchnień skazańców, których prowadzono z pałacu do miejskiego więzienia.

By obejrzeć jeden z najbardziej porywających i malowniczych widoków w Europie odwiedziliśmy najwyższy w Wenecji budynek (98,5 m) – Campanilę, która miała być dzwonnica Bazyliki św. Marka, a także umożliwiać widok na port i służyć jako latarnia. Stamtąd właśnie zwróciliśmy uwagę na jeden z naj-

bardziej charakterystycznych elementów panoramy miasta – na renesansowy kościół Santa Maria della Salute. Monumentalny gmach z białą kopułą, umiejscowiony u wylotu Canale Grande, od 350 lat jest ważnym elementem pejzażu miasta, jego budowę rozpoczęto w 1631 r., według projektu B. Longhena, w podziękowaniu wszystkich mieszkańców Wenecji, którą dotknęła zabójcza epidemia dżumy, ślubując Matce Boskiej wybudowanie nowego i pięknego kościoła za wsparcie swoją pomocą. Mniejszymi zabytkami pod względem wielkości są dwie kolumny sprowadzone w 1170 r. ze wschodniego wybrzeża Morza Śródziemnego. Na jednej umieszczony jest lew św. Marka, na drugiej – jeden z patronów Wenecji, św. Teodor w towarzystwie dziwnego stworzenia. Między kolumnami wykonywano kiedyś egzekucje. Wenecjanie nadal uważają, że przejście między kolumnami przynosi pecha.

Oglądane wcześniej fotografie, przedstawiające pałace nad Canale Grande, Pałac Dożów, Bazylikę i Plac św. Marka czy most Rialto, okazują się prawdziwym zapisem niezwyklej rzeczywistości, atmosfera i wygląd miasta robią bajkowe wrażenie. Wiedzieliśmy jednak także, że miasto ma swoje problemy, a pobyt w nim niektóre z nich potwierdził... Miasto nie odgrywa znaczącej roli w życiu współczesnych Włoch, stagnacja ekonomiczna i społeczna doprowadziła do tego, iż liczba jego mieszkańców co roku się zmniejsza. Dotychczasowe miejsca pracy mieszkańców wypierane są przez luksusowe sieci sklepów, eleganckie restauracje i hotele. Nie ma już miejscowych piekarni, małych spożywczych sklepików... miejscowa ludność nie ma gdzie zaopatrzyć się w podstawowe produkty i artykuły spożywcze – takie sklepy nie przyciągną turystów, mówią mieszkańcy: *a my nie mamy gdzie rano kupić bułek, nikt już o nas nie myśli...* Wszystko to, a także wysokie opłaty związane z utrzymaniem tak charakterystycznych, bajkowych dla nas domów, spowodowało, że wiele osób wyprowadza się z Wenecji do tańszych mieszkań w Mestre, co z kolei sprawiło, iż Mestre-Marghera rozrosła się do rozmiarów trzykrotnie większych od zabytkowego centrum Wenecji. Według ekspertów co roku z Wenecji wyprowadza się 2500 mieszkańców, co doprowadzi do tego, że za 24 lata nikt tutaj nie zostanie. W ciągu 40 lat ogólna liczba obywateli tego zabytkowego miasta zmniejszyła się o połowę, czyli ze 120 tys. do zaledwie 60 tys. Żadne inne miasto nie ucierpiało w podobnym stopniu w wyniku rozwoju turystyki (rocznie odwiedza je około 20 mln osób, z których połowa nie zatrzymuje się nawet na jedną noc), bez niej jednak Wenecja nie mogłaby dziś istnieć. Niekiedy sytuacja staje się tak dramatyczna, że zakaz wstępu do miasta zaczyna obowiązywać wszystkich, którzy nie zarezerwowali wcześniej noclegów. Mimo wszystko mieszkańcy są dumni ze swojego miasta i robią wszystko, by każdy mógł je zobaczyć od najlepszej strony, wszystko jest tutaj ważne – nawet zawód śmieciarza, który wie, że m.in. dzięki jego, jakże potrzebnej pracy, miasto jeszcze istnieje i który już wie, że nigdy nie będzie chciał opuścić tego miejsca, czy strażnika Wieży Zegarowej, który już niestety dzisiaj nie pełni swojej funkcji (po remoncie zautomatyzowano zabytkowy zegar). Wielu z nich mówi o swoim mieście, że jest ono „la serenissima” – najspokojniejsze. Rzeczywiście, Wenecja jest jedynym miastem we Włoszech wolnym od samochodowego hałasu i smogu, a Wenecjanie wyruszają do pracy pieszo albo pływają.

Nie możemy także zapomnieć o innym, jakże ważnym problemie miasta. Obniżanie się gruntu powoduje częste powodzie, a słona woda morska i zanieczyszczenie powietrza w dużym stopniu na-

ruszają tkankę budowlaną. Już w 2012 r. zacznie działać system ruchomych tam przeciwpowodziowych niosących ratunek dla miasta przed niszczycielską siłą wody z 45-kilometrowej sieci kanałów. Gdy zbliża się ogromny, 240-metrowy kontenerowiec z ciężkim ładunkiem, przesmyk Malamocco, jedno z trzech wejść do Laguny Weneckiej, zaczyna się zamykać. Kolejno, po cztery naraz, podnosi się dziewiętnaście ruchomych zapór, chroniących lagunę przed wzburzoną wodą Adriatyku. Do niedawna silne prądy i podmuchy wiejącego z południa wiatru sirocco, osiągającego prędkość dwudziestu węzłów, pchały fale morskie do szturmu na Wenecję. Od jesieni 2012 r. miasto będzie zabezpieczone na co najmniej jeden wiek. To na razie tylko symulacja, jednak dostatecznie przekonująca, aby zrozumieć, co stanie się za pięć lat, kiedy gigantyczna i niezwykła budowa ruchomych tam zostanie zakończona.

„Wenecja to miasto dwóch światów. Świata realnego, i tego drugiego, odbitego w wodach laguny. Jest to świat kościołów modlących się od wieków, pałaców błyszczących złotem i mozaikami... Świat domów szmerzących historie weneckich kupców i żon wyczekujących z utęsknieniem ich powrotu, gondolierów śpiewających o zamorskich wyprawach Marco Polo. Świat ten kołysze się łagodnie, w rytm wiosł płynących gondoli, faluje, by w karnawale zabłysnąć oczami weneckiej maski...” Wenecja jest jak z bajki, ale trudno przewidzieć, czyjej zakończenie będzie szczęśliwe...



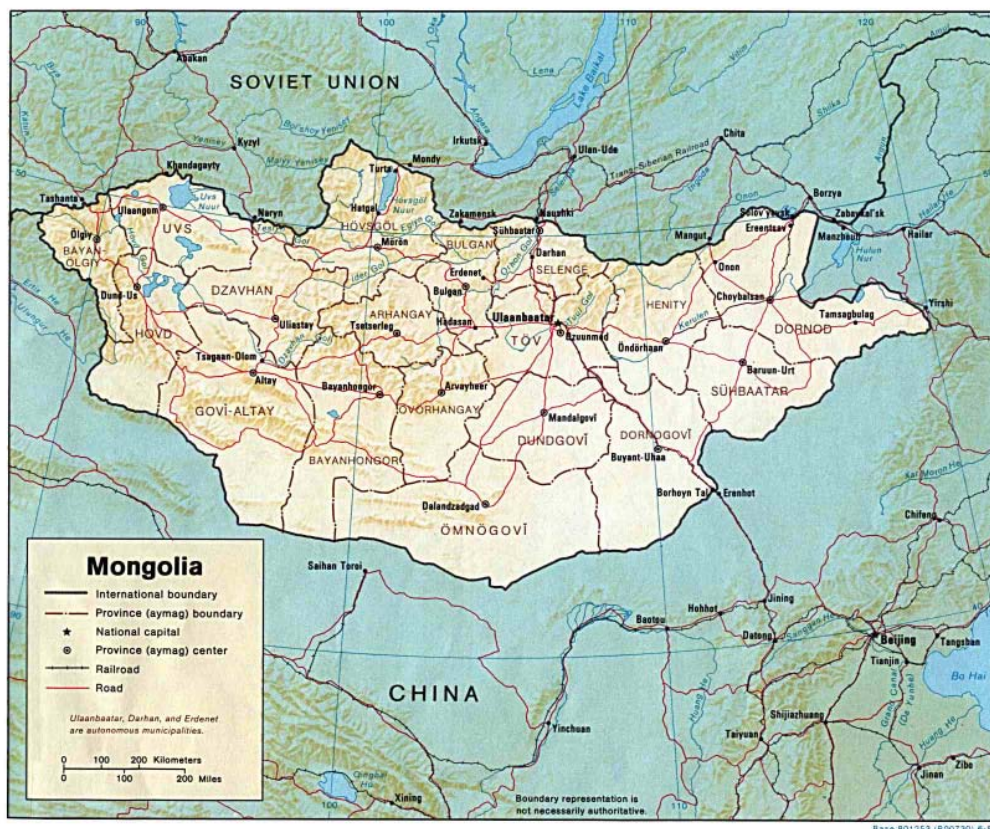
Krzysztof Juszcak

MONGOLIA – DZIKI ZACHÓD NA DALEKIM WSCHODZIE

Jedziemy po stepie, gdzie drogę stanowią jedynie wyjeżdżone koleiny i nie ma ani centymetra asfaltu. W samochodzie jest tylko dziesięć siedzeń, a nas jest trzynaścioro. Siedzę koło kierowcy, który nie używa zbyt często hamulca, chociaż co chwila wpadamy na wyboje. Zapieram się nogami, jedną ręką trzymam się fotel, a drugą uchwyty, mimo to po raz kolejny wylatuję w powietrze i ląduję na znajdującym się pomiędzy mną i kierowcą silniku. Słyszę, jak ktoś z tyłu mówi: „Jak wrócę do Polski, to ucałuję asfalt na naszych drogach”. W taki sposób przemierzyłem razem ze znajomymi około 4 tys. km zwiedzając Mongolię. Taki też obraz staje mi przed oczami, gdy teraz myślę o tym kraju, zamiast, jak to dotychczas było, Czyngis-chana pędzącego na koniu, po stepie na czele swoich wojsk.

Jak w ogóle doszło do tego, że ja, 23-letni student Politechniki Wrocławskiej, spędziłem wakacje w tak nietypowym zakątku świata? Spowodowała to mieszanka mojej miłości do gór i podróży oraz dużej dozy szczęśliwego zbiegu okoliczności. Dwa i pół roku temu siedziałem na szczycie góry w Bieszczadach i podziwiałem piękne połoniny w oddali, gdy nagle uświadomiłem sobie, że znajdują się one już na Ukrainie. W mojej głowie od razu zrodził się plan, aby tam pojechać. I tak, rok później chodziłem z kumplem po ukraińskiej części Karpat. Dzięki tej wyprawie nabrałem większej pewności siebie i przekonania, że jak człowiek chce, to może. W następne wakacje postanowiłem pojechać dalej na wschód, który coraz bardziej zaczynał mnie fascynować. Zacząłem kompletować ekipę na wyjazd na Ural, a jak pieniędzy i odwagi starczy, to i nad Bajkał. Niestety, kilkanaście dni przed planowanym wyjazdem, zespół, głównie z przyczyn finansowych, rozpadł się. W ten sposób razem z moją dziewczyną zostaliśmy na lodzie. Jednak wszystko dobre, co się dobrze kończy. Nasi znajomi, którzy w tym samym czasie planowali podróż właśnie do Mongolii, zaproponowali, abyśmy do nich dołączyli i dzięki nim mogliśmy odbyć tak egzotyczną podróż.

Podróż do Ułan Bator zajęła nam osiem dni. Przed wyjazdem miałem wrażenie, że jestem niewiarygodnie oryginalny. Jakież było moje zdziwienie, gdy w Moskwie weszliśmy do wagonu kolei transsyberyjskiej i okazało się, że prawie połowa znajdujących się w nim ludzi to Polacy, którzy jechali na podobne wyprawy. W Ułan Bator można spotkać ludzi z całego świata. Mongolia jest bardzo nastawiona na usługi turystyczne. Stanowią one w tym kraju dużą część dochodów państwa.



Status turysty ma tam swoje wady i zalety. Byłem tam wielokrotnie traktowany jak przysłowiowa „święta krowa”, np. podczas przekraczanie granicy bez kolejki czy szybkim i bezproblemowym załatwianiu innych formalności. Natomiast nieprzyjemności, jakie spotykają turystów, to zawyżanie cen. Na targu przeważnie nie są wywieszane ceny przy produktach, o cenę należy pytać sprzedawcę. Niejednokrotnie zdarzyło mi się kupić na targu jakieś owoce lub słodycze, po cenie dwu- lub trzykrotnie wyższej. Aby tego uniknąć, należy kupować tam, gdzie podane są ceny. Najbardziej uciążliwi są jednak kieszonkowcy, których ulubionym celem są właśnie turyści. Przeważnie są to 11-15-letni chłopcy, którzy próbują wyjąć coś z cudzej kieszeni. Robią to w sposób bardzo bezczelny. Z szamotaniny z jedną z takich grup wyszedłem z krwawiącą wargą.

Na pewno pozytywnego wrażenie nie robią także mongolscy kierowcy. Na ulicy panuje prawo silniejszego. Kierowcy kompletnie nie zwracają uwagi na pieszych. Przejście na drugą stronę ulicy to istna szkoła przetrwania. Sam nieraz, z duszą na ramieniu, stałem długo na środku jezdni, gdy samochody mijają mnie o kilka centymetrów. O tym, że któryś z nich się zatrzyma i mnie przepuści, nie było nawet co marzyć. Właśnie z faktem brawurowej jazdy mongolskich kierowców związane jest zdarzenie, które na pewno długo będę pamiętał. Podczas powrotu z wyprawy w góry na jednej z ulic stolicy nasz kierowca potrącił pieszego. Mężczyzna odbił się od szyby, pół metra przed moją twarzą i upadł na jezdnię. Gdy ofiara wypadku leżała nieprzytomna, a wokół niej zbierał się tłum gapiów, nasz kierowca zniknął. Na miejscu pojawiła się policja, która zajęła się pokrzywdzonym w sposób urągający zasadom pierwszej pomocy. Nie biorąc pod uwagę, że najprawdopodobniej połamane żebra mogą przebić płuca poszkodowanego, zgiętego w pół wsadzili go do taksówki. W tym momencie pojawiła się karetka. Sanitariusze, nie na noszach (!), lecz w identyczny jak policjanci sposób przenieśli potrąconego do karetki. Spodziewaliśmy się przesłuchania, jakichś pytań, przecież byliśmy świadkami potrącenia człowieka. Ku naszemu wielkiemu zaskoczeniu jeden z policjantów zajął miejsce kierowcy i zapytał, dokąd nas podwieźć (turyści – „święte krowy”).

Na szczęście, za rogatkami stolicy jest całkiem inna Mongolia. Ulan Bator to jedyne miasto w naszym tego sensie rozumieniu, z wielopiętrowymi budynkami, z klubami nocnymi, kawiarenkami internetowymi, z asfaltem na drogach itp. Poza tym miastem wygląd Mongolii nasuwał mi skojarzenia z Dzikim Zachodem. Miejscowości są przeważnie niewielkie, gdzie tylko wzdłuż głównej drogi stoi kilka murowanych budynków (poczta, szkoła, posterunek policji itp.), a wokół rozstawione są jurty (tradycyjne mongolskie namioty) otoczone płotami zbitymi z desek. Wszędzie można zobaczyć

konie, które stoją przywiązane przed każdym barem i targowiskiem. Gdy usiadłem na jednym z nich, okazało się, że siodła, tradycyjnie wykonane z drewna i bogato zdobione, są bardzo niewygodne. Mongolscy jeźdźcy mogą w nich wytrzymać kilka godzin, gdyż w odróżnieniu od nas nie siedzą, lecz stoją w nich.

Ludzie, których spotkaliśmy na naszej drodze, okazali się bardzo życzliwi i gościnni. Wielokrotnie byliśmy zapraszani do jurty i częstowani jedzeniem i pićm. Kuchnia mongolska jest dość uboga. Najpopularniejszym napojem jest ajrak (nazywany również kumysem), sfermentowane mleko klaczy, o niewielkiej zawartości alkoholu. Bardzo orzeźwiający, w smaku przypominający lekko gazowane zsiadłe mleko. Innym napojem była herbata, jednak w odróżnieniu od nas Mongołowie zalewają ją nie wrzącą wodą, lecz gorącym mlekiem. Czuję się dziwnie pijąc ją, gdyż smakowało po prostu, jak bardzo gorzkie mleko. Do jedzenia można tam najczęściej dostać buzy i moje ulubione chuszury. Jest to rodzaj dużych pierogów z siekaną baraniną i czosnkiem gotowane na parze (buz) lub smażone w głębokim tłuszczu (chuszur). Jedliśmy również ciasto z przepysznym, śmietankowym, świeżo zrobionym masłem, które wręcz rozpływało się w ustach, oraz arole, które robi się z kozuchów powstałych na ajraku, suszonych na dachu jurty. W związku z tym, w zależności, w jakim rejonie znajduje się namiot, arol może zawierać trawę, piasek, a nawet małe kamyczki, które są nawiewane przez wiatr. Należy więc uważać, gdyż można, tak jak jeden spotkanych przez nas Polaków, złamać sobie zęba podczas konsumpcji.

Mongołowie wyznają buddyzm lamajski z elementami szamanizmu, w związku z tym mieliśmy możliwość zaobserwować kilka egzotycznych dla nas obrządków. Np. nasi kierowcy często zatrzymywali się przy kamiennych kopcach, stojących przy drogach i kilkakrotnie je okrążali, dorzucając kolejne kamienie. Każde okrążenie owo, taką bowiem nazwę noszą te stosy, stanowi odpowiednik naszej modlitwy. Jednak największe zaskoczenie przeżyłem na szczycie 4-tysięcznika. Gdy mocno wyczerpany podchodziłem ostatni, stale pokryty śniegiem etap, poczułem zapach padliny. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu okazało się, że na wierzchołku leżał martwy koń. Jak się później okazało, była to ofiara prześlągalna – w tym rejonie od kilku lat panowała susza. Góra Otgon Tenger (po mongolsku oznacza *Blisko Nieba*) jest świętym miejscem tubylczej ludności. Co ciekawe, kobietom nie wolno na nią wchodzić, gdyż, według miejscowych wierzeń, sprowadza to nieszczęście. Jako że połowę naszej ekipy stanowiły dziewczyny, nie przyznawaliśmy się napotkanym po drodze Mongołom do zdobycia tego szczytu.

Bardzo sympatycznym zaskoczeniem było wiele polskich akcentów w Mongolii. W każdym barze na stole stoi polska przyprawa magi, którą Mongołowie obficie polewają buzy i chuszury. Dzieci zjadają się *Korsarzami* – drażetkami w czekoladzie, a wszyscy myją się mydlami importowanymi z naszego kraju. Znane są im losy Janosika i przygody „Czterech czołgistów i sabaki”, jak nazywali ten serial. Udało nam się nawet kupić kasetę z muzyką hip-hop, gdzie podkładem jest właśnie muzyka z „Czterech pancernych i psa”. Spotkaliśmy również kilku Mongołów mówiących po polsku, w tym Bata, który był naszym przewodnikiem i tłumaczem podczas wyprawy na pustynię Gobi.

Podróż na Gobi była najbardziej oczekiwanym przeze mnie etapem wyprawy. Od dawna chciałem zobaczyć ogromne masy piasku sięgające aż po horyzont. Jakież było moje zdziwienie, gdy po kilkunastu godzinach od wyjazdu z Ułan Bator zapytałem Bata: „Jak daleko do pustyni?”, i w odpowiedzi usłyszałem: „Już od kilku godzin na niej jesteśmy”. Okazało się, że prawie cała mongolska część Gobi przypomina bardziej wyschnięty step niż wielką piaskownicę. Dotarliśmy jednak do piaszczystej części, gdzie bawiliśmy się świetnie zjeżdżając z wydm na plastikowych workach. Niektórzy z nas zafundowali sobie również jazdę na wielbłądzie. Bardzo chciałem zobaczyć niewiarygodną dla mnie rzecz, o której opowiadał nam Bat, mianowicie śnieg na pustyni, który utrzymuje się bardzo długo w górzyszej części Gobi. Przyjechaliśmy tam jednak pod koniec lata i, niestety, do tego czasu zdążył on stopnieć.

Przed wyjazdem kupiliśmy pamiątki. Największym powodzeniem cieszyły się tradycyjne mongolskie kości do wróżenia, zrobione z baranich kręgow oraz pięciopalczaste skarpetki. Z podróży powrotnej długo będę pamiętał podróż najniższą klasą mongolskiego pociągu, w którym trzeba było dosłownie walczyć łokciami o swoje miejsce. Jednak to nie był koniec mojej podróży. Razem z dziewczyną postanowiliśmy spędzić jeszcze dwa tygodnie nad Bajkałem, gdzie poznaliśmy wspaniałych ludzi, ale to już zupełnie inna historia.

SKĄD SIĘ WZIĘŁA KARAWAKA?

We wschodniej Polsce często można spotkać przydrożne, choć nie tylko, krzyże o oryginalnej formie – posiadające dodatkową, krótszą poprzeczkę u samej góry. Zwie się je karawakami. Poniżej zamieszczamy wyjaśnienie ich pochodzenia.

Redakcja

CARAVACA DE LA CRUZ – MIASTO ŚWIĘTE

Na południowozachodzie regionu Mureji (Hiszpania) znajduje się Caravaca de la Cruz, jedno z pięciu świętych miast na świecie. Od niemalże ośmiu wieków czci się tu niezwykłą relikwią, która przyciąga miliony pielgrzymów. Relikwią jest *Lignum Crucis* – fragment drewna z Krzyża Męki Pańskiej umieszczony w relikwiarzu w kształcie krzyża o podwójnych ramionach. Słowo „cruz” w nazwie miasta oznacza właśnie krzyż. W 1998 r. papież nadał miastu przywilej obchodzenia Roku Jubileuszowego co siedem lat „in perpetuum” [na stałe – red.]. Pierwsze obchody odbyły się w 2003 r. (miasto odwiedziło wtedy około 1 mln pielgrzymów), w b.r. obchodzony jest drugi z kolei Rok Święty. Pielgrzymi mają szansę na odpust zupełny. Oprócz miasta Caravaca de la Cruz przywilej obchodów Roku Jubileuszowego i miano Świętego Miasta posiadają tylko cztery inne miasta na świecie: Jerozolima, Rzym, Santiago de Compostela oraz Santo Toribio de Liebana w Kantabrii.



Legenda ukazania się świętego Krzyża

Według tradycji przekazywanej z pokolenia na pokolenie mauretański król Ceyt Abuceyt, po zdobyciu terytorium należącego dziś do Caravaki, postanowił dać zajęcie przetrzymywanym w lochach więźniom, aby ci choć trochę zapracowali na swoje utrzymanie. Po kolei więc pytał każdego z więźniów o zawód, aż przyszła kolej na duchownego o imieniu Gines Perez Chirinos. Król zapytał go, czym potrafi się zajmować i usłyszał odpowiedź, że jest on ministrem Chrystusa na Ziemi i że potrafi podczas eucharystii zamieniać chleb i wino w ciało i krew Chrystusa. Zaintrygowany tym wyznaniem król posłał do Cuenki po wszelkie niezbędne akcesoria liturgiczne, a następnie zażądał od więźnia, by ten w jego obecności odprawił Mszę Świętą. Wtedy duchowny zwrócił uwagę, że do aktu eucharystii potrzebny jest krzyż, którego brakuje. W tej samej chwili w oknie objawiły się dwa Anioły niosące Krzyż Caravaki, wcześniej zdjęty z piersi patriarchy Roberta z Jerozolimy. Anioły złożyły Krzyż na ołtarzu, a ksiądz mógł dokończyć mszę. Będąc świadkiem tego cudownego zdarzenia król Maurów Ceyt Abuceyt, cała jego rodzina oraz poddani nawrócili się na chrześcijaństwo. Wydarzyło się to 3.05. 1232 r. Od tego czasu opiekę na krzyżem sprawowało wiele różnych zakonów religijnych.

QHiszpanii 2010 nr 25

Od Redakcji: Dodajmy, że w mieście tym znajduje się wiele ciekawych zabytków: kościołów, pałaców, domów. Z Polski najlepiej dostać się samolotem do Alicante (z kilku portów krajowych).

Juliusz Wysłouch

NA TURBACZU - ŚLADOWO I ŚNIEŻNIE

X Śladowe Spotkanie Czytelników i Sympatyków NS już za nami. Gościliśmy w schronisku PTTK im. W. Orkana na Turbaczu. Było nas 18 osób, w tym 13 narciarzy i 5 turystów bez nart. Inna statystyka to 7 „nowicjuszy” i 11 stałych bywalców. Nowicjuszy w cudzysłowie, bo chodzi nie o osoby przybyłe pierwszy raz w góry, tylko o uczestnictwo w Spotkaniach Śladowych. Trzon ekipy stanowili członkowie klubu „Ostańce” z Zawiercia, tym razem zabrakło licznej reprezentacji Wrocławia, uczestniczącej zwykle w Spotkaniach. Wybrali oni Bieg Piastów rozgrywany w tym samym terminie. Zabrakło licznych zwykle „Łosi”. Przyszło na świat sporo nowych „Łosiątek”, które muszą trochę podrosnąć, by osobiście przybyć w góry lub zwolnić rodziców z obowiązków na parę dni. W dotychczasowej tradycji różnych spotkań czytelników NS na Turbaczu, czy to letnich, czy „rodzinnych”, czy „śladowych” wszelkie spotkania miały miejsce w sali kominkowej schroniska. Tym razem mieliśmy do dyspozycji pomieszczenie kawiarenki mieszczącej się na parterze tuż przy wejściu do schroniska. Niewielkie i kameralne pomieszczenie dobrze służyło podczas wieczornych spotkań, na których rozmawialiśmy o minionych zimowych imprezach, o mijającym sezonie zimowym i o przyszłości. Drewniana boazeria w kawiarence posłużyła do przyklejenia zestawów zdjęć prezentujących minione spotkania narciarskie, ale także inne organizowane pod egidą „Na Szlaku”. Plansze ze zdjęciami ożywiły nie tylko wnętrze kawiarenki, ale także wspomnienia z różnych spotkań, tras, gór i schronisk. Uczestnicy przyszli na Turbacz głównie z Nowego Targu – Kowańca, ale również od Koninek i z kierunku Rabki. Dolne partie szlaków wiodących na Turbacz były nieco oblodzone, co utrudniało wędrowkę, im wyżej, tym więcej śniegu, co dawało możliwość przypięcia nart i kontynuowania podejścia na śladówkach. Pogoda dopisywała pierwszego dnia. Było słonecznie i dość ciepło, jak na zimę. Pierwsi narciarze dotarli do schroniska przed południem, pod wieczór było 13 osób, pozostali doszli w piątek. Z rozmów wynikało, że kilka osób zrezygnowało z przyjazdu w ostatniej chwili.

Podczas pierwszego wspólnego wieczoru postanowiliśmy wybrać się w piątek na trasę, która rozpoczęła przed 10 laty wspólne wędrowanie na nartach. Cała ekipa zdecydowała się na przebycie drogi stokowej spod Jaworzyny Kamienickiej do doliny Kamienicy. Tam uczestnicy wycieczki mieli wybrać: albo powrót doliną na przeł. Borek i dalej przez Czoło Turbacza do schroniska, albo próba dojścia na Gore. Pierwszy wariant wybrały trzy osoby, większość postanowiła spróbować podejścia na Gore i powrotu zielonym szlakiem na Turbacz. Okazało się to dość trudnym zadaniem, gdyż część podejścia trzeba było zrobić po zalesionym zboczu bez jakiegokolwiek drogi czy ścieżki. Było trochę schodkowania, a potem narty w garść i mozolnie pod górę. Ukształtowanie terenu i leżące wszędzie powalone pnie drzew utrudniały podejście i kosztowały nas sporo sił. Wreszcie dotarliśmy do ścieżki doprowadzającej do grzbietu i zielonego szlaku wiodącego na Gore. Po odpoczynku ruszyliśmy pod górę przez halę





po południowej stronie grzbietu i mozolnie wydostaliśmy się na wierzchołek omijając najstromejszy odcinek szlaku pieszego. Powrót z wierzchołka tym razem znakowanym szlakiem, a strome odcinki trzeba było pokonać „na butach”. Można też było spróbować zjazdu szerokimi zakosami lasem obok szlaku, dwóch narciarzy skorzystało z tej możliwości. Potem jazda w kierunku Turbacza głównie przez las, ale mijane po drodze wielkie hale, a właściwie polany Przystół i Średniak dostarczyły szerokich widoków w

kierunku Ochotnicy i Pasma Lubania. Do schroniska przybyliśmy niemal równocześnie z zespołem wędrującym dol. Kamienicy. Po południu pojawili się kolejni uczestnicy. Wieczorem podzieliliśmy się wrażeniami z wędrowki i obejrzelśmy zdjęcia z poprzednich spotkań, m.in. w Rytrze, oraz migawki z tegorocznej zimy na Jurze. Ustalono trasy na sobotę. Ekipa „kamienicowa” postanowiła pójść na Gorc, grupa „gorcowa” z poprzedniego dnia, grzbietem przez Bukowinę Miejską do dol. Lepietnicy, dalej na Stare Wierchy i głównym szlakiem przez Obidowiec do schroniska. Sekcja piesza wybrała trasę nr 4 z zestawu propozycji, czyli marsz do Koninek, wjazd na Tobałów i dalsza droga przez Suchorę i Obidowiec do schroniska. Zamierzenia te zrealizowano w pełni i przed zmrokiem wszyscy wędrujący powrócili z wycieczek. Grupa udająca się do dol. Lepietnicy zaliczyła kolejny atrakcyjny, stromy odcinek „na butach”, gdyż dróżka mająca sprowadzić w dolinę dość szybko się skończyła i trzeba było odpiąć narty. Za to zjazd drogą w dolinie był przedniej marki. Potem dość szybkie wejście na Stare Wierchy. Kilka osób szło nieco oblodzonym szlakiem, pozostali odkrytym zboczem obok szlaku. Ci pierwsi „na butach”, ci drudzy nart nie zdjęli i jodełkując wydostali się na główny gorczański grzbiet. Po odpoczynku i posiłku w schronisku, przy pięknej słonecznej pogodzie powędrowaliśmy na Turbacz. Obawialiśmy się o śnieg, ale także w dolinach, nie tylko na grzbietach, nie brakowało go. Cały czas, z krótkimi przerwami, śnieżyło, chwilami opad był całkiem intensywny. W ciągu dwóch dni przybyło 15-20 cm śniegu. Dzięki temu można było na polanach zjeżdżać w prawdziwym świeżym puchu. Pewne trudności były jednak w wąskich „holwegach”, gdzie podtapiany za dnia śnieg zamieniał się nocą w lód. Było to na niższych wysokościach i w niektórych partiach leśnych. Nie obyło się bez nagłych kontaktów narciarzy z twardym podłożem, jednak nikt nie odniósł kontuzji. Wieczorna „burza mózgów” zaowocowała wyborem miejsca kolejnego Spotkania Śladowego. Spośród wielu propozycji (schronisko „Trzy Korony”, Szczawnica i inne) wybraliśmy schr. PTTK „Pasterka” w pobliżu Gór Stołowych i Karłowa w Sudetach. W pobliżu nie brakuje dobrych terenów do turystycznego pochodzenia na nartach, blisko stąd do przygotowanych tras biegowych po stronie czeskiej. Sekcja piesza będzie mogła „poszaleć” w labiryntach Szczelińca i Błędnych Skał (chyba potrzebne będą raki i wyjątkowa ostrożność). Przypuszczam, że do Pasterki ściągnie spora ekipa z Wrocławia, wszak to dwa kroki ze stolicy Dolnego Śląska.

W niedzielny poranek zebraliśmy się w sali kominkowej pełniącej także funkcję kaplicy, gdzie uczestniczyliśmy w mszy odprawianej przez znanego wszystkim gorczańskim turystom o. Kazimierza. Potem śniadanie, pakowanie i ostatnie wypady na nartach, to na Halę Długą, to na Czoło Turbacza. Powoli rozchodziliśmy się do Nowego Targu, Rabki, Koniny. Towarzyszyła nam piękna pogoda: raz słońce, raz gęsto padający śnieg. Pewnie spotkamy się za rok w Pasterce, a możliwe, że i wcześniej w schr.





PTTK „Jagodna” na Przeł. Spalona pod koniec czerwca (patrz [komunikat](#)). Może dotrą tam także „Łosie” z małymi „Łosiątkami”. Zapraszam i na Spaloną, i do Pasterki. Uczestników jubileuszowego X Spotkania na Turbaczu zapraszam do podzielenia się swoimi wrażeniami z tegoż spotkania. Czekamy na wspomnienia i fotografie, wszak spotkanie było bardzo udane od strony turystycznej i towarzyskiej. A o to przecież chodziło. Do zobaczenia na szlaku!

.....

Krzysztof Tęcza

Międzynarodowy Dzień Przewodnika Turystycznego

W dniach 20-21.02.2010 r. w Kołobrzegu spotkali się przewodnicy turystyczni, aby w dniu swojego święta nie tylko pochwalić się osiągnięciami, ale także porozmawiać o dniu teraźniejszym przewodnictwa turystycznego w Polsce, jak też o jego przyszłości. A że jest to bardzo ważne, świadczy choćby fakt ustanowienia Międzynarodowego Dnia Przewodników Turystycznych. Pierwsze takie święto obchodzono 21.02.1989 r. Uznano wówczas, że rola przewodnika w środowisku lokalnym jest nie do przecenienia. To właśnie on wprowadza zarówno turystów, jak i mieszkańców w świat jaki ich otacza. To właśnie on stara się nie tylko przybliżyć historię (starszą i nowszą), ukazać dzieje zarówno poszczególnych obiektów, jak i całych miejscowości. A robi tak, aby zainteresować jak największą rzeszę turystów, kuracjuszy, mieszkańców, uczniów. Jednym słowem, tych wszystkich, którzy chcieliby dowiedzieć się czegoś więcej o terenie, na którym przebywają. Nic zatem dziwnego, że wszyscy odpowiedzialni za działania na rzecz ludzi, widząc rangę takich działań, starają się pomagać przewodnikom w ich codziennej pracy. Jest to przecież w interesie wszystkich.

Uroczyste otwarcie Dnia Przewodnika miało miejsce w Hotelu Arka Medical Spa, który razem z Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu, Klubem Przewodników PTTK w Kołobrzegu i Klubem Przewodników PTTK „Baszta Kaszana” w Trzebiatowie był organizatorem imprezy. Jej rangę określiła obecność przedstawicieli Urzędu Marszałkowskiego Województwa Zachodniopomorskiego, władz miasta Kołobrzegu i innych samorządów. Był także przedstawiciel ZG PTTK z Warszawy. Po zapoznaniu z obecnymi problemami miasta i perspektywami jego rozwoju zajęto się sprawami typowo przewodnickimi. Stanisław Kawęcki uzmysłowił, w jakich kierunkach powinien iść ruch przewodnicki. I nie chodziło tu tylko o sprawy szkoleniowe czy organizacyjne, ale także o dopływ świeżej kadry. Bo sam fakt wymiany pokoleniowej jest niepodważalny. Wszyscy się starzeją. Ale w związku z tym trzeba nie tylko szkolić następców, lecz wciąż doskonalić metody szkoleniowe, no i dopasowywać do nowego sposobu życia formy prowadzenia imprez. A ponieważ stara kadra trzyma się całkiem nieźle, wiele z obecnych osób zostało wyróżnionych dyplomami i odznaczeniami. Bo zawsze należy pamiętać o ludziach wyróżniających się w swojej działalności na tle innych. Musimy pamiętać, że przewodnik to nie tylko zawód. To także a może przede wszystkim pasja, to styl życia. To podczas wycieczki można zauważyć różnicę pomiędzy osobami oprowadzającymi. To właśnie od nich przede wszystkim zależy, czy po powrocie do domu wszyscy będą zadowoleni czy nie. Bo przecież zadowolony turysta na pewno wyruszy na kolejną eskapadę. A niektórzy prowadzący mają wypracowany taki sposób oprowadzania, że aż dech zapiera.



Autor z załogą ze Świnoujścia

była opowieść Zbigniewa Gonczaruka (Wyższa Szkoła Humanistyczna w Szczecinie), w której przedstawił na przykładzie własnych doświadczeń, jak duży wpływ na życie turystyczne ma zwykły przypadek. A że przydarzyło mu się wiele takich niecodziennych zdarzeń, miał o czym opowiadać. Miło jest posłuchać o tym, jak osobiście można poznać Brigitte Bardot czy Salvadora Dali. Nie każdemu bowiem było to dane. Równie ciekawie Piotr Piwowarczyk (dyrektor Muzeum Obrony Wybrzeża w Świnoujściu) zaprezentował metody aktywnego oddziaływania na zwiedzających w przewodnictwie muzealnym. Trudno jest przecież wpływać na zwiedzającego, a dzięki takim metodom jest on nie tylko podatny na tego typu przedsięwzięcia, ale później bardzo miło je wspomina, mimo że nie zawsze kojarzą się one jako miłe czy pozytywne.

Po takiej dawce wiedzy pozostało tylko podzielić się wrażeniami i odpocząć, by na drugi dzień ruszyć na zwiedzanie Kołobrzegu. I tutaj swoją wiedzę wykazali się pracownicy Muzeum Oręża Polskiego. Zaprezentowali nie tylko zbiory wojskowe, ale przede wszystkim zbiory poświęcone historii miasta. A trzeba przyznać, że uczestnicy otrzymali taką dawkę wiedzy, iż sami nigdy by nie dowiedzieli się tego wszystkiego. Teraz po krótkim spacerku dotarto do Harcerskiego Ośrodka Morskiego (Reduta Solna), gdzie podczas pieczenia kiełbasek przy ognisku zakończyła się część oficjalna Dnia Przewodnika. Pozostała już tylko wymiana adresów i zaproszeń na imprezy organizowane przez poszczególnych uczestników.



Przy ognisku

Aby takie spotkanie nie miało tylko charakteru pochwał i wzajemnej adoracji, zaplanowano część wykładową. To właśnie na niej Paweł Pawłowski (dyrektor Muzeum Oręża Polskiego w Kołobrzegu) przedstawił, jakie miejsce powinno mieć obecnie Muzeum w zrównoważonej turystyce kulturowej. I trzeba przyznać, jego wypowiedź na temat turystyki odpowiedzialnej była bardzo interesująca. Fakt, że jakiś walor krajoznawczy jest chętnie odwiedzany, nie musi być ciągły. Bo jeśli nie będziemy dbali o to miejsce, o jego stan oraz sposób prezentacji, to po jakimś czasie zostanie ono zdeptane. Stanie się nieatrakcyjne i turyści będą szukali czegoś nowego. Bardzo ciekawa

Rok Marianny Orańskiej

Wywiad Wojciecha Radlińskiego (W.R.) z Krzysztofem R. Mazurskim (K.R.M.)

W bieżącym roku przypada dwusetna rocznica urodzin Marianny Orańskiej.

Urząd Marszałkowski Województwa Dolnośląskiego ogłosił rok 2010 *Rokiem Marianny Orańskiej* na Dolnym Śląsku. Na inaugurację wydarzenia 8. marca br., a więc na Dzień Kobiet, na wrocławski rynek bryczką zajechała sama królowa. Przed pięknym ratuszem odsłonięto wystawę plenerową. Niemal wszystkie plansze odwoływały się do korzystania z materiałów naszego Redaktora Naczelnego prof. Krzysztofa R. Mazurskiego. Jest on wybitnym znawcą tematyki związanej z tą postacią. Daje to więc dobrą okazję do krótkiego wywiadu.

W.R. Myślę, że jesteś prekursorem wydobywania z zapomnienia i spopularyzowania postaci królowy szerokiej publiczności?

K.R.M. Była to klasyczna dłubanina krajoznawcza, związana z przygotowaniem kolejnego tomu „Słownika geografii turystycznej”. Trzeba było w końcu rozwikłać pochodzenia takich nazw, jak Droga



Marianna Orańska w 1832 r.

Marianny, Źródło Marianny i podobnych. Zajęło mi to kilkanaście lat, ze stypendiami badawczymi w Marburgu i Berlinie.

W.R. Dobrze, że nareszcie dolnośląskie władze samorządowe przypomniały sobie o tej wybitnej osobie. W jaki sposób chcą jej postać przybliżyć społeczeństwu?

K.R.M. Poza tą oficjalną inauguracją przewiduje się szereg imprez na terenach związanych z nią, realizowanych przez poszczególne samorządy gminne. Otwarty też będzie ich staraniem okružny drogowy Szlak Marianny Orańskiej, a wrocławska wystawa trafi w październiku do Parlamentu Europejskiego w Brukseli.

W.R. Odnoszę wrażenie, że PTTK na szczeblu wojewódzkim (dolnośląskim) niezbyt mocno angażuje się w to wydarzenie?

K.R.M. Nic mi o tym nie wiadomo, natomiast uwzględnia to Dolnośląska Federacja Przewodnicka, a środowisko ząbkowickie organizuje z dużym rozmachem dwudniową imprezę – począwszy od Kamieńca Ząbkowickiego po Śnieżnik i Międzygórze.



Naczelny z królową Marianną na wrocławskim Rynku 8. marca br. Fot. Sobiesław Mazurski

W.R. Czy byłeś w zagranicznych miejscach związanych z Marianną Orańską?

K.R.M. Prawie we wszystkich, a było ich sporo i to w różnych krajach, z wyjątkiem Palestyny, bo z jej podróży po tej krainie nie zachowały się żadne konkretne informacje.

W.R. Który z obiektów związanych z Marianną Orańską jest Ci najbliższy?

K.R.M. Chyba schronisko „Na Śnieżniku”: raz, że to ona je wybudowała, a dwa, że z ostatnimi dzierżawcami – nieżyjącym Zbyszkim Fastnachttem i jego synem Jackiem, połączyły mnie więzy przyjaźni. Natomiast boleję na stanem pałacu kamienieckiego. W pełnej krasie zapewne przewyższyłby popularnością Książ.

W.R. Dziękując za wywiad przypomnę, że wydawnictwo książkowe autorstwa mojego rozmówcy pod wymownym tytułem „Miłość i dramaty Królowy Marianny” jest do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.



PATRONAT MEDIALNY „Na Szlaku”

Szymon Bijak

Konkurs fotograficzny *Zabytki Światowego Dziedzictwa w Polsce*

Nasi przodkowie pozostawili wielkie bogactwo dzieł architektury, kultury i sztuki. Dziś odkrywamy je i coraz częściej zdajemy sobie sprawę, że są one zagrożone zniszczeniem. Odkrywamy też rozsiane po całym świecie cuda natury, które staramy się zobaczyć i udokumentować zanim znikną.

W 1972 r. Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO) uchwaliła na sesji w Paryżu Konwencję w sprawie ochrony światowego dziedzictwa kulturalnego i naturalnego. Dokument ten podkreśla fakt odpowiedzialności społeczności międzynarodowej, która w całości powinna wziąć udział w ochronie obiektów i miejsc o najwyższej powszechnej wartości, gdyż stanowią one wspólne dobro ludzkości. Światowe Dziedzictwo obrazuje różnorodność kulturalną i przyrodniczą świata. Podlega ono ochronie, której celem jest zachowanie go w możliwie niezmienionej postaci dla przyszłych pokoleń. Obecnie 136 państw zobowiązało się do ochrony leżących na ich terytorium obiektów o światowym znaczeniu. Obiekty o unikatowej wartości kulturowej bądź przyrodniczej dla ludzkości są wpisywane na Listę Światowego Dziedzictwa Kulturowego i Przyrodniczego Ludzkości. Aktualnie na Liście znajduje się 890 wpisów z 148 krajów.

Polska była jednym z pierwszych państw-sygnatariuszy Konwencji. Jedne z pierwszych wpisów na Listę dotyczyły także obiektów z naszego kraju. Obecnie Polskę reprezentuje 19 obiektów, które ujęto w 13 wpisów. Należą do nich zabytkowe zespoły miejskie Krakowa, Warszawy, Zamościa i Torunia, drewniane świątynie Małopolski, Podkarpacia i Dolnego Śląska, a także zamek Wielkich Mistrzów Krzyżackich w Malborku, manierystyczny zespół kalwaryjski w Kalwarii Zebrzydowskiej oraz kopalnia soli w Wieliczce. Najnowsze czasy reprezentują Hala Stulecia we Wrocławiu oraz obóz koncentracyjny i zagłady w Oświęcimiu. Na Liście znalazły się również puszczańskie ostępy Białowieskiego Parku Narodowego oraz transgraniczny park krajobrazowy w Łęknicy i Bad Muskau.

W celu zachęcenia do poznania największych atrakcji turystyczno-krajoznawczych Polski oraz propagowania wśród turystów fotografii krajoznawczej Komisja Krajoznawcza i Opieki nad Zabytkami O/Międzyuczelnianego PTTK organizuje konkurs fotograficzny, którego tematem są zabytki Światowego Dziedzictwa w Polsce. Na zdjęcia oczekujemy do 30 września br. Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi na początku października. Planowana jest też pokonkursowa wystawa najciekawszych prac.

Szczegóły odnośnie konkursu można znaleźć na [stronie internetowej Komisji](#).

Historia KG ŚWISTAK

W latach 1965-1974 opolski Oddział PTTK zrzeszał pokaźną grupę osób zainteresowanych uprawianiem turystyki górskiej. Dominowała chęć poznawania jej tajników, chęć szeroko pojętego szkolenia, zdobywania uprawnień i poznawania nie tylko polskich gór. Wiele osób posiadało już uprawnienia przodowników turystyki górskiej. Byli to: Adam Cichy, Franciszek Kamysz, Aleksander Caban, Mieczysław Gad, Józefa Głośnicka, Antoni Gottman, Piotr Kansy, Władysław Kulak, Józef Łucki, Henryk Rutkowski, Henryk Smyk, Andrzej Szczurek, Krystyna Walkiewicz, Adam Wójtowicz, Władysław Cichalewski. W dniu 12.02.1974 r. w obiekcie PTTK „Nad Stawkiem” przy ul. Barlickiego 2a odbyło się historyczne zebranie, na którym został wybrany pierwszy zarząd Klubu Górskiego ŚWISTAK. Prezesem został nieżyjący już Adam WÓJTOWICZ. W latach 1974-1975 środowisko turystów górskich opolskiego Oddziału PTTK przeżywało dość trudne czasy spowodowane ścieraniem się różnych, często skrajnie przeciwnych poglądów i ideologii prezentowanych przez członków Zarządu Oddziału i członków Klubu. Prowadzona działalność dezintegracyjna zaowocowała upadkiem Klubu i utratą praw Oddziałowej Komisji TG. Jednak szybko, bo już 18.06.1975 r. dochodzi do reaktywowania KG ŚWISTAK. Pismo w tej sprawie do Zarządu Oddziału PTTK w Opolu złożyło 26 osób, które deklarowały dalej przynależność klubową. Drugi Zarząd Klubu pracował w latach 1975-1976 pod przewodnictwem Józefa ŁUCKIEGO. Stabilizacja w jego władzach następowała powoli. Związane to było z konkretną sytuacją i konkretnymi osobami, które miały aspiracje do piastowania eksponowanych funkcji w Klubie dożywotnio. A trzeba pamiętać, że w tych latach sztandarowe imprezy Klubu – Jesienne Opolskie Rajdy Tatrzańskie, były rajdami znakomicie organizowanymi, znanymi w Polsce. Były to rajdy dla 200-300 osób, obejmowały swoimi trasami całe Tatry (w tym Tatry Słowackie), a uczestnicy gościli we wszystkich ich schroniskach. Nie tak łatwo było dostać się na JORT i mieszkać w nich. Ci, dla których zabrakło miejsc, mieszkali w DT PTTK w Zakopanem i na kwaterach prywatnych. Kto miał władzę w Klubie, ten rządził JORT-ami. Nie wszystkim to się podobało. Pewien przełom nastąpił w 1978 r. Jak opowiadał Franciszek Kamysz, nestor opolskiej turystyki górskiej – przyszedł Jan Odnowiciel i we władzach Klubu zaczęły obowiązywać trochę inne zasady. Do Zarządu

zostały wybrane następujące osoby: Jan Białek – prezes, Józef Król – wiceprezes, Jan Giza – wiceprezes, Zbigniew Sieja – sekretarz, Barbara Weber – skarbnik, Maria Mleczko – członek Zarządu, Konrad Bartoszek – członek Zarządu, Franciszek Olszewski – członek Zarządu.

Zarząd w powyższym składzie pracował do 1982 r., kiedy po ukończeniu kadencji odbyły się kolejne wybory.



Zarząd KG ŚWISTAK. Od lewej: Konrad Bartoszek, Henryk Domagała, Jan Dubrownik, Zbigniew Sieja, Andrzej Woźniak, Barbara Cavour, Józef Król, Maria Mleczko

Niestety, dokumenty obrazujące historię Klubu po tym roku istnieją w stanie szczątkowym i znajdują się w prywatnych zbiorach. Podstawowa dokumentacja została zniszczona przez powódź w 1997 r. Po żmudnych konsultacjach ustalono, że od roku 1982 do 1994 – czyli do końca działalności Klubu, prezesem był Józef Król. Jan Białek dwukrotnie pełnił funkcję wiceprezesa, raz funkcję sekretarza, a w ostatniej kadencji był przewodniczącym Komisji Rewizyjnej. W skład zarządów wchodziły następujące osoby: Barbara Cavour, Jan Dubrownik, Henryk Domagała, Józef Kowalów, Konrad Bartoszek, Franciszek Olszewski, Andrzej Szczygieski, Jerzy Ratajczak, Wincenty Kala, Zbigniew Sieja i Adam Wójtowicz.

Na początku lat 80. w kręgach świstakowców starszej i młodszej generacji rozgorzała dyskusja na temat, KTO był pomysłodawcą znaczka klubowego. Skądinąd sympatyczny Andrzej Szczurek upierał się, że to on był autorem projektu. Być może, jakiś wątek w tym temacie jest prawdziwy. Potwierdza to również Włodek Cichalewski, który twierdzi, że jest w posiadaniu pierwszych dokumentów Klubu, łącznie z projektem znaczka. Po weryfikacji dokumentów okazało się, że to PRAWDA! Niestety, projekt nigdy nie doczekał się realizacji, mimo że podobizna świstaka jest realniejsza niż na aktualnym znaczku klubowym. Tak się składa, że byłem bezpośrednio zaangażowany w dzieło tworzenia znaczka klubowego. I to znaczka, który przetrwał do dzisiaj. W Zarządzie Klubu – a było to za prezesury Józefa Króla, zapadła decyzja o klubowym znaczku i legitymacji. Podjąłem się tematu projektu znaczka – ale nie w sensie wykonania, tylko dotarcia do najlepszego źródła i wykonawcy: Maciej Kurek – opolski taternik i himalaista, posiadał talent rysowniczy i plastyczny. Często zadziwiał mnie rysując od ręki panoramy pasm górskich. Maciek wykonał projekt znaczka. Ów projekt z Józkiem Królem zanieśliśmy do najlepszego opolskiego grawera – Rajnholda Koptonia. Otrzymał on zlecenie wykonania matrycy odznaki. Kilkakrotnie byliśmy z Józkiem wzywani do pracowni w celu uzgodnienia małych poprawek. Pamiętam dyskusję nad kształtem pyszczka świstaka! Najdrobniejsze szczegóły były uzgadniane. W końcu pierwsze egzemplarze wyszły spod prasy. Zostały zaakceptowane, chociaż do dzisiaj sylwetka owego świstaka ze znaczka budzi moje mieszane uczucia. Coś mu brakuje! Józef Król dla najbardziej zasłużonych działaczy i sprzymierzeńców Klubu kazał wybić pewną ilość odznak i miniaturek w srebrze. Mój numer odznaki i legitymacji – 0003. Ma się rozumieć, że niemalą frajdą było mieć srebrną odznakę KG Świstak. I taka jest prawdziwa historia odznaki klubowej, która używana jest po dzisiaj. Warto w tym miejscu trochę wspominać, bowiem organizowanie JORT-ów wymagało wielkiego zaangażowania społecznej kadry posiadającej uprawnienia GOT oraz życzliwych zażyłości z osobami z Zakopanego i Tatr. Wtedy Dom Turysty PTTK w Zakopanem był istic prawdziwym domem dla turysty, a dla nas podczas rajdów bazą i ostoją. Praktycznie nie było osoby na stanowisku kierowniczym w DT PTTK w Zakopanem, z którą nie bylibyśmy w dobrych stosunkach koleżeńskich, a często i przyjacielskich. Z tego to powodu dla opolan ze Świstaka nigdy nie było zamkniętych drzwi lub braku noclegów – w końcu w atrakcyjnej porze roku, w jakiej były organizowane JORT-y. Najważniejsze i najbardziej wpływowe osoby, tj. Dyrektor DT, szef recepcji, kierownik restauracji, kierownik księgarni oraz szefowie parkingu, byli przez nas podejmowani (za własne pieniądze) w dniu przyjazdu. Aby nie kusić czytelnika do nadmiernych spekulacji i pochopnego wyciągania wniosków, informuję, że wspomniane przyjęcia dla gospodarzy nie odbywały się w restauracji ani innym lokalu, tylko w dużym pokoju noclegowym – niekiedy zwanym apartamentem (nr 101) w DT. Przy takiej okazji przekazywaliśmy drobne upominki w postaci folderów i książek o opolskim regionie, oddziałowe materiały promocyjne (proporzyczki, znaczki okolicznościowe) oraz znaczki bieżącej imprezy. Dyrekcja DT PTTK im. gen. Mariusza Zaruskiego w Zakopanem obdarzała nas szczególnymi względami jeszcze z innych powodów. Nie każdy dzisiaj kojarzy, jakie braki i ograniczenia były powszechne w latach głębokiego PRL-u. Załatwienie czegośkolwiek, co mogło w Domu Turysty służyć ogółowi, nie zawsze było łatwe, a przeważnie trudne i niemożliwe. Dlatego też użyłem wyrazu „załatwienie”. Niektórzy koledzy mieli możliwości pomóc dyrekcji DT,



a tym samym turystom tam przebywającym i przebywającym w tatrzańskich schroniskach. I tak pewnego razu kolega prezes J. Król załatwił dla DT i schronisk... wagon kolejowy... papieru toaletowego. Innym razem załatwił duże ilości wytrzymałych plastikowych worków na śmieci, które były również używane podczas akcji sprzątania Tatr. Przypuszczam, że niejeden kolega lub koleżanka pamiętają w schroniskach i DT w Zakopanem oryginalne porcelanowe kubki świstakowskie z napisem: *czyste góry, wody, lasy*. Oprócz hasła na kubku była zamieszczona odznaka KG ŚWISTAK. Tych kubków było kilkaset sztuk. To były piękne czasy! I nikt z działaczy nie robił tego dla pieniędzy ani honorów – tylko dla zadowolenia turystów i po to, aby po opolanach zostało w Zakopanem miłe wspomnienie! Innego razu z racji „zaopatrzenia” DT PTTK w Zakopanem sam uczestniczyłem w tzw. „akcji”, która, niestety, zakończyła się częściowo fiaskiem. Józek Król tylko sobie znanymi sposobami załatwił dla DT PTTK w Zakopanem pełną nyskę umywalek, pisuarów, porcelanowych kłopotów itp. Jechaliśmy załadowani jak karawana wielbłądów. Byliśmy już blisko Nowego Targu, aż tu naraz, niedaleko cudownego źródła, doszło do czołowego zderzenia naszej nyski z maluchem. Żeby było śmieszniej, maluch był na opolskich rejestracjach. Prowadził go starszy mężczyzna, który stracił panowanie nad swoim pojazdem. Całe szczęście, że oba auta nie jechały zbyt szybko. Nam nie stało się nic szczególnego, tylko kierowca miał pęknięte jakieś kostki w nadgarstkach – od uderzenia kierownicy. Nasze urazy – pół biedy. Ale cały ładunek został potłuczony. Na pobliskim parkingu szukaliśmy w tym całym rumowisku czegoś całego – bezskutecznie. Niestety, tym razem DT PTTK w Zakopanem musiał obejść się smakiem.

Cdn

.....

Krzysztof Tęcza

44. Rajd PTTK Szlakiem Walk I Armii WP o Kołobrzeg

W tym roku przypada 65. rocznica zdobycia Kołobrzegu. Dlatego też wszyscy żyją tym wydarzeniem i wszyscy starają się zrobić coś, aby je upamiętnić. Przygotowano – wzorem lat ubiegłych, inscenizację walk, jakie miały miejsce w parku w rejonie Pomnika Zaślubin z Morzem. Na pewno wszyscy zapamiętają to przedstawienie, bo, jak się okazało, zorganizowano je profesjonalnie i z pełnym poświęceniem ze strony biorących w nim udział osób. Nawet lekki deszczyk nie tylko że nie przeszkodził w realizacji tego przedsięwzięcia, ale także nie przepłoszył widzów. Nie możemy jednak zapatrzeni na takie widowisko nie zauważać innych działań związanych z tą, z jednej strony smutną (zginęło wtedy wiele osób, nie tylko żołnierzy), ale także radosną (wyparto wojska niemieckie i zajęto miasto) częścią historii Kołobrzegu. Od zakończenia działań wojennych w Kołobrzegu stacjonowało Wojsko Polskie. Co prawda, w związku z przechodzeniem armii na zawodowstwo jednostek wojskowych jest coraz mniej. Ale to właśnie tutaj od wielu lat działa Oddział Wojskowy Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, którego aktualnym prezesem jest Jerzy Blachowski, a wiceprezesem Jerzy Przepióra. I to właśnie działacze tego Oddziału zorganizowali już po raz 44. Rajd Szlakiem Walk I Armii WP o Kołobrzeg. Początkowo celem tej małej imprezy było uczczenie żołnierzy, zarówno tych, którzy w walce o wolność oddali to, co mieli najcenniejszego, czyli swoje życie, jak i podziękowanie tym, którzy przeżyli te straszne dni marcowe 1945 r. A co by tu nie mówić, wszyscy Oni wykazali się heroizmem dzisiaj niespotykanym. Trzeba wiedzieć, że byli to w większości przecież ludzie młodzi, dopiero na starcie swojego życia. Dlatego Rajd przyjął się i po wielu latach jest już imprezą nie tylko rozpoznawalną, ale i znaczącą.

W obecnym roku wzięło w nim udział ponad czterysta osób. W znacznej mierze dzieci i młodzieży podzielonej na drużyny. Najlicniejsza, bo ponad stuosobowa, to uczniowie i opiekunowie z Zespołu Szkół Gospodarki Żywnościowej w Gościnie. By uczestnicy rajdu zachowali w pamięci im-

prezę co najmniej do następnego roku, rozdano wszystkim certyfikaty uczestnictwa, wiele dyplomów i aż trzynaście pucharów, m.in. dla najliczniejszej drużyny, dla najmłodszego uczestnika (ur. w 2006 r.), dla najstarszego uczestnika (1934) itd. Zanim jednak do tego doszło, wszystkich podzielono na pięć grup, a z każdą z nich wyruszył przewodnik turystyczny. Jedną z grup poprowadził Adam Kwapisz. Ponieważ wtedy jeszcze nie padało, wszyscy mogli podziwiać piękną aleję platanów, dowiedzieć się czegoś o historii poszczególnych obiektów mijanych po drodze, rzucić okiem na sprzęt wojskowy zgromadzony w Muzeum Oręża Polskiego, ale także dowiedzieć się wielu nieznanych ciekawostek. Choćby zobaczyć miejsce,



gdzie zbudowano tzw. Batardo. Był to system zastawek i kanałów mogący w ciągu doby zamienić Kołobrzeg w wyspę. Takie posunięcie skutecznie hamowało wojska atakujące miasto. Niestety, dzisiaj urządzenie to już nie działa. Prowadzący pan Adam co chwilę zaskakiwał wszystkich ciekawymi faktami. Mało kto np. wiedział, że Baszta Lontowa to ten sam obiekt co Baszta Prochowa. Tyle że do 1945 r. nazywano ją Lontową, a po 1945 – Prochową. Na wiele zadawanych przez przewodnika pytań padały poprawne odpowiedzi, ale nie na wszystkie. Powstałe jednak wątpliwości szybko były przez niego rozwiewane.

Trzeba zatem powiedzieć o Rajdzie, że nie tylko udał się, ale przyniósł jego uczestnikom dużo radości, zadowolenia i ruchu na świeżym powietrzu. A na zakończenie koło Reduty Solnej, podczas konsumpcji smacznej zupy łososiowej, śmiano się i opowiadano co ciekawsze zdarzenia. Wspomnę tu tylko o jednym. Gdy zbierano się w umówionym miejscu po obejrzeniu inscenizacji boju o Kołobrzeg, przez ulicę przechodził oddział żołnierzy w niemieckich mundurach. Byli oni zmęczeni i cali w błocie. Wyglądali faktycznie tak jak po przegranej bitwie. I właśnie wtedy podjechał autobus wiozący kuracjuszy z sąsiedniego kraju. Jakież było ich zaskoczenie, gdy ujrzeli ten widok. A jakież było rozbawienie wszystkich na widok min tych pierwszych!

.....

IMPREZY ODBYWAJĄCE SIĘ NA TERENIE „KSIĘSTWA ŚWIDNICKO- -JAWORSKIEGO” I W OKOLICY

1.05.2010 (sobota), godz. 8-14 – GIEŁDA STAROCI I RÓŻNOŚCI, Rynek w Świebodzicach, wstęp wolny

1-2.05.2010 (sobota – niedziela) - XIV MIĘDZYNARODOWY TURNIEJ WIOSNY W AKROBATYCE SPORTOWEJ, Hala Sportowa przy ul. Galla Anonima 1, Świdnica, wstęp wolny

1-3.05.2010 (sobota – poniedziałek) – DNI ŻAGLI, Zalew Witoszówka, Świdnica, wstęp wolny

2.05.2010 (niedziela), godz. 8-14 – GIEŁDA STAROCI, NUMIZMATÓW I OSOBLIWOŚCI, Rynek w Świdnicy, wstęp wolny

8.05.2010 (sobota) – 45 MIĘDZYNARODOWY WYŚCIG KOLARSKI „SZLAKIEM GRODÓW PIASTOWSKICH”, Świdnica, wstęp wolny

9.05.2010 (niedziela), godz. 17 – IV ŚWIDNICKIE INTEGRACJE KABARETOWE KABA-

RET „POSZUKIWANI” KONTRA KABARET „HRABI”, I LO, ul. Pionierów 30, Świdnica, bilety: 35 zł

14-16.05.2010 (piątek-niedziela) – FESTIWAL SZTUKI I RZEMIOSŁA „TARGIRA”, Hala Widowiskowo-Sportowa, ul. Mieszka Starego 6, Świebodzice

15.05.2010 (sobota), godz. 16:30 – OTWARCIE WYSTAWY ARTURA NACHTA-SAMBORSKIEGO „PAMIĘĆ MOTYWU”, Galeria Sztuki BWA, Zamek Książ, wstęp wolny

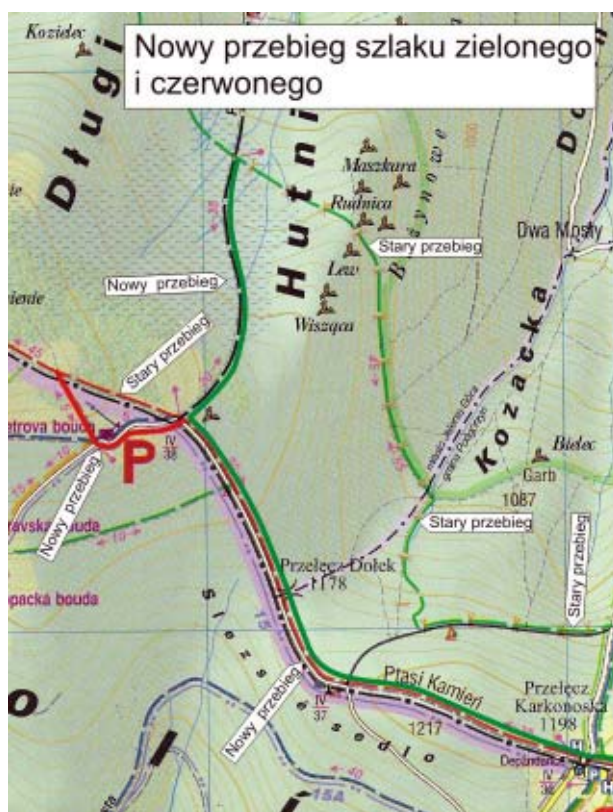
17-19.05.2010 (poniedziałek-środa) – V HALCAMP RALLY 2010 – ZŁOT MIŁOŚNIKÓW KEMPINGU I KARAWANINGU, Kemping przy ul. Śląskiej 35, Świdnica, wstęp wolny

30.05.2010 (niedziela) – XII ŚWIDNICKI DZIEŃ TRZEZWOŚCI, w programie m.in.: KONCERT STACHURSKIEGO, ELENI, ATRAKCJE DLA DZIECI, tereny OSIR, ul. Śląska, Świdnica, wstęp wolny



LOK „Księstwo Świdnicko-Jaworskie”

Zmiany przebiegu szlaków w Karkonoskim Parku Narodowym



Jacek Bożek

Kierowco, pozwól płazom cieszyć się wiosną!

Wiosna to bardzo ważny okres dla płazów!

Z miejsc zimowego spoczynku muszą dotrzeć do zbiorników wodnych, w których odbywają gody i składają skrzek. Niestety, często trasy ich wiosennej migracji kolidują z ruchliwymi ulicami, i wiele płazów ginie na drogach pod kołami pojazdów. Pozwólmy płazom, które były świadkami pojawienia się i wyginięcia dinozaurów na naszej Planecie, na dalsze istnienie!

Płazy przynoszą człowiekowi ogromne korzyści. Podczas swojego aktywnego życia w okresie wiosennym i letnim jako zwierzęta mięsożerne i bardzo żarłoczne w ciągu doby zjadają mniej więcej tyle samo ślimaków, owadów i innych szkodników upraw, co ptaki!

Co możesz zrobić?

- jeśli możesz, ogranicz jazdę samochodem (w szczególności podczas wiosennych deszczów) w pobliżu stawów, rzek, oczek wodnych i innych zbiorników, gdzie masowo przez jezdnie przechodzą płazy;
- jeśli musisz tamtędy przejeżdżać autem, ogranicz prędkość maksymalnie;
- informuj administratorów dróg w tego typu rejonach o występujących tam płazach oraz możliwości postawienia specjalnych drogowych znaków informacyjnych



Program „Pomagamy zwierzętom – chronimy klimat” dofinansowano ze środków Narodowego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej.

Michał Zieliński

KOSZMAR NA BABIEJ GÓRZE

Trochę ku refleksji, trochę ku przestrodze chciałbym się z Wami podzielić relacją z „wycieczki”, jaką odbyliśmy 13 marca na Babią Górę. Oryginalnie zaplanowaliśmy szybkie wejście, zejście, piwko w schronisku na Markowych i powrót do domu – mieszkamy jakieś 120 km od Zawoi, więc szykowałam się fajna jednodniówka. Do Zawoi Markowej dojechaliśmy około godz. 9.40, poubieraliśmy się jak należy i ruszyliśmy na szlak. Było umiarkowanie zimno, widoczność rzędu kilkuset metrów, słońce nieśmiało próbowało przebić się przez chmury. Maszerowało nam się dobrze i w 90 min dotarliśmy do Markowych Szczawin, gdzie zatrzymaliśmy się w nowym schronisku na coś ciepłego do zjedzenia i coś słodkiego do wypicia przed podejściem na szczyt. Nie zabawiliśmy długo i ruszyliśmy po około 30 min dalej na szlak. Do Brony doszliśmy w 25 min i grzbietami zaczęliśmy dreptać w kierunku szczytu. Szło się dobrze, śniegu na szlaku niezbyt wiele. Widoczność była już ograniczona do kilkudziesięciu metrów, ale marsz od tyczki do tyczki nie sprawiał problemów. W końcu dotarliśmy do kopuły na szczycie i zaczęliśmy pod nią podchodzić. Wszystko nadal było w porządku i pod kontrolą.

Po wejściu na szczyt doszło do momentalnego załamania pogody. Wiatr przyspieszył do prędkości ponad 100 km na godzinę (jak ocenił później jeden z goprowców), temperatura odczuwalna spadła w okolice -30° , widoczność nie przekraczała 3-5 m. Postanowiliśmy natychmiast wracać, lecz niestety – nie udało nam się znaleźć szlaku. W sumie podjęliśmy trzy próby zejścia, trzykrotnie wracaliśmy na szczyt, gdyż jedynie tam była możliwość jakiegokolwiek osłony przed wiatrem (kamienny murek). Najbardziej wyziębioną koleżankę owinęliśmy folią NRC i wezwaliśmy na pomoc GOPR. Było około godz. 15, ale widzieliśmy, że nie mamy najmniejszych szans samodzielnego zejścia. Dysponowaliśmy wprawdzie GPSEM turystycznym i dokładną mapą, lecz w tych warunkach nawet on nam nie pomógł. GOPR dotarł do nas już po 40 min. Mieliśmy szczęście, że inne grupy też wzywały pomocy i kiedy my dzwoniliśmy, oni już byli na szlaku. Wiola dostała od jednego z nich dodatkową kurtkę, po chwili zapadła decyzja, że schodzimy na Krowiarki. Po drodze mieliśmy zebrać jeszcze trzy osoby, które utknęły podchodząc pod szczyt i czekały przy tyczkach. Zejście trwało 9 godz. Po drodze nawet panowie z GOPR gubili szlak, bo wiatr powywraçał tyczki. Im to by nie zrobiło różnicy, mieli narty i poruszali się w terenie swobodnie, natomiast idąc z nami zmuszeni byli narty zdjąć i prowadzić nas „na GPSa” z nadzieją, że w końcu na szlak wrócimy. Oznaczało to konieczność przedzierania się przez śnieg pokrywający kosówkę, którego w międzyczasie napadało tyle, że nieraz zapadaliśmy się po pas i wyżej. Po którejś kolejnej takiej przeprawie zapadła decyzja o wezwaniu posiłków, wyruszyło w naszą stronę kolejnych dwóch ratowników, a dodatkowe grupy wyjechały z Suchej Beskidzkiej i Cieszyna. Czekaliśmy w okolicach Sokolicy, aż dodatkowe grupy dojdą do nas w kilka godzin, usiłując osłonić się przed wiatrem jakimiś karłowatymi świerczkami. W końcu dotarła pomoc i udało nam się (ponownie w głębokim śniegu) jakoś dostać do granicy lasu. Dalej było już lepiej, nie było wiatru, a pod nogami zalegało nam znacząco mniej śniegu. Problemem był jedynie lód znajdujący się pod nim. Zaliczyłem kilkanaście upadków, lecz było mi już wszystko jedno, byle szybciej zejść na dół. W końcu po godz. 23 dotarliśmy na Krowiarki. Myślę, że mogę z całą pewnością stwierdzić, że GOPR uratował nam tam życie – wątpię, żebyśmy na szczycie w tych warunkach dotrwali do rana, a próba samodzielnego zejścia była skazana na porażkę.

Wnioski? Kilka mi się nasunęło. Przede wszystkim trzeba mieć dobry sprzęt decydując się na zimowe wyjście na Babią. Dzięki temu, że byłem porządnie ubrany, dość dobrze znosiłem niską temperaturę. Dobre buty i grube skarpety, warstwa bielizny termoaktywnej, grube i nieprzewiewne spodnie,

gruby polar oraz nieprzewiewna kurtka z membraną to podstawa! Zawsze trzeba mieć ze sobą naładowany telefon (idąc samemu najlepiej dwa, drugi trzymać jak najbliżej ciała, żeby był w ciepłe) z wpisanymi numerami GOPR. Trzeba brać rzeczy zapasowe – z całą pewnością rękawice. Z dodatków – czołówka, folia NRC, zapas czekolady, termos z herbatą, niby standard, ale często o tym się nie myśli przy planowanych krótszych wyjściach. Nam to bardzo pomogło, przede wszystkim psychicznie – mieliśmy świadomość dobrego przygotowania, z czego wynikało przekonanie, że wszystko skończy się dobrze. Dobra kondycja fizyczna jest także niezmiernie ważna – taki marsz poza szlakiem w głębokim, kopnym śniegu, jaki nam się trafił podczas schodzenia, dał zdrowo w kość pomimo tego, że jestem dość wytrzymały i dbam o formę.

No i najważniejsze – nie bać się i nie wstydzić dzwonić po GOPR. Jeżeli sytuacja jest trudna, spróbować znaleźć miejsce, w którym łatwo będzie ratownikom nas odnaleźć i po prostu poprosić o pomoc. Ratownicy, którzy nas sprowadzali, byli wspaniałymi ludźmi, którzy ani przez chwilę nie dali nam do zrozumienia, że mają do nas jakieś pretensje, nawet pomimo tego, że dwie minuty przed naszym zgłoszeniem przyszła w odwiedziny do nich Anna Czerwińska, akurat przebywająca na Markowych Szczawinach. Wręcz przeciwnie – stwierdzili, że ich zdaniem jesteśmy odpowiedzialnymi turystami, ponieważ większość ich akcji rozpoczyna się w okolicach godz. 22, po telefonie od kogoś, kto przez kilka godzin miotał się i sam próbował znaleźć zejście i zazwyczaj nie jest w stanie powiedzieć, gdzie jest. Cała akcja była przeprowadzona profesjonalnie, jestem pod ogromnym wrażeniem tego, co widziałem. Nie dość, że uratowali nam życie, to sprowadzili nas na dół w jednym kawałku. Ponieśliśmy w zasadzie najniższy możliwy wymiar kary – kolega odmroził sobie dwa palce, koleżanka rozwalila nogę o drzewko schowane pod śniegiem, ja mam zapalenie krtani, spojówek i stłuczone ramię po upadku. Tyle, co nic, ale dość, żeby mieć świadomość, że mogło być o wiele gorzej. Matka Niepogód pokazała nam, jak mali i nieznaczący jesteśmy wobec natury.

Rozpisałem się strasznie, gratuluję, jeżeli ktoś dotarł do końca i nie zasnął. Pisząc ten artykuł chciałem tym, którzy jeszcze czegoś takiego nie przeżyli, dać pewien materiał do przemyśleń i analizy, zanim sami zdecydują się pójść zimą na Babią, do czego oczywiście mimo wszystko gorąco namawiam.

Do druku podał za zgodą autora i źródła (www.planetagor.pl) *Juliusz Wystouch*



H. P.

Co kolekcjonujemy? (3)

Medale – znane są od czasów starożytnych. Rozwój medalierstwa nastąpił w czasie renesansu, następnie w okresie neoklasycyzmu i postępuje nadal współcześnie. Twórcami projektów medali byli i są często wybitni artyści. Ich wybite łączy się najczęściej z rocznicą ważnego wydarzenia historycznego lub z wybitnymi postaciami. Wydawane są również z okazji jubileuszów instytucji lub dla upamiętnienia innych okoliczności. Treść zawarta wizerunkach i napisach na medalach ma na celu przekazanie społeczeństwu wiedzy o tych sprawach. Inny rodzaj stanowią medale nadawane jako odznaczenia lub nagrody. Medale mogą być bite stemplem, lane i trybowane. Najbardziej są cenione medale produkowane przez Mennicę Państwową.

Przechowywanie medali sprawia wiele kłopotów, są one bowiem ciężkie. Nie należy ich trzymać w etui skórzanym (zachodzą wtedy reakcje chemiczne, powodujące uszkodzenie powierzchni metalu). Składowane razem powodują wzajemne zarysowania. Ekspozować je można np. w oszklonych gablotach lub w oryginalnych pudełkach. Efektownym sposobem jest mocowanie medali na wosk na listwach z drewna lub sklejkę, przytwierdzonych do ściany. Zbiór medali może ukazać wydarzenia w regionie, świadczące o bogatym życiu naukowym, kulturalnym, gospodarczym, może również dać obraz tej problematyki w skali kraju. Interesujący jest też układ według symboli, czyli wizerunków przedstawionych na medalach.

Militaria, pamiątki wojny i martyrologii – stały się w ostatnich latach szczególnie poszukiwane z uwagi na organizowane przez różne instytucje, szkoły itp. izby pamięci narodowej, budzą też zainteresowania kolekcjonerów. W zbiorach krajoznawcy przedmioty te mogą być bardzo cennym przyczynkiem do historii miejscowości czy jej okolic. Zdarzają się także takie zbiory rodzinne, poświęcone osobie bliskiej.

Z uwagi na charakter zbiory powinny być raczej udostępniane szerszej publiczności. Do omawianego rodzaju zbiorów należą: mundury, czapki, pasy, hełmy, naszywki mundurowe, godła, emblematy, orzelki wojskowe, odznaki służb i broni, elementy wyposażenia, jak maski przeciwgazowe, mapniki, saperki, broń palna i biała itp. Można także zbierać dokumenty pisane, fotografie, a także publikacje. Pamiątki wojenne są związane najczęściej z postaciami dowódców, wydarzeniami, miejscami bitew itd. Ponadto mogą to być przedmioty z miejsc pamięci narodowej: stroje (np. pasiaki obozowe), numery więźniarskie, dokumenty, listy itd.

Uwaga: posiadanie broni palnej, nawet historycznej, obwarowane jest przepisami i wymaga odpowiednich warunków przechowywania i zabezpieczenia.

Zbiór militariów i wspomnianych pamiątek można gromadzić ich rodzajami, uwzględniając chronologię poszczególnych przedmiotów (np. broń biała, orzelki itd.). Interesujący jest układ związany z określonymi działaniami wojennymi; należy go wtedy uzupełnić mapami, planami, różnymi ilustracjami itp.

Odznaczenia. Przedmiotem kolekcjonowania bywają również odznaczenia, medale i ordery; wojenne, wojskowe i cywilne (państwowe, resortowe czy regionalne, za zasługi dla miasta, województwa) itp. Odznaczenia takie, jako nadawane „honorowo”, mogą w zasadzie być gromadzone jako pamiątki osobiste lub rodzinne.



Andrzej Rumiński

STANISŁAW KIERBEDŹ

GENERAL-MAJOR, INŻYNIER

W marcu 2010 r. minęła 200. rocznica jego urodzin,
warto więc przypomnieć tę ciekawą postać.

Stanisław Kierbedź urodził się 10.03.1810 r., w znanej na Litwie od XVI w. rodzinie ziemiańskiej herbu Ślepowron. Miejscem jego narodzin był majątek ojca, Nowy Dwór, w pow. poniewieskim, guberni kowieńskiej. W 1826 r. Stanisław ukończył gimnazjum klasyczne w Kownie, potem studiował dwa lata na Uniwersytecie Wileńskim, gdzie otrzymał stopień kandydata nauk na Wydziale Fizyczno-Matematycznym. Po uzyskaniu dyplomu wyjechał do Sankt Petersburga i w 1831 r. ukończył Instytut Korpusu Inżynierów Komunikacji w stopniu porucznika. W Instytucie Stanisław wykazywał wielkie zdolności matematyczne. Wkrótce został asystentem w katedrze mechaniki stosowanej i techniki budowlanej. Od 1834 r. prowadził wykłady z tych przedmiotów na kursach oficerskich Szkoły Głównej Wojskowo-Inżynieryjnej. Kierował nią prof. Paweł Pietrowicz Mielnikow, który potem został pierwszym rosyjskim inżynierem wybranym na członka Rosyjskiej Akademii Nauk, a z czasem mianowany został ministrem komunikacji. Później Stanisław jako pomocnik profesora wykładał (1837-1849) budownictwo i mechanikę praktyczną. Tych dwóch (Pawła i Stanisława) połączyła prawdziwa przyjaźń. Występowali jako współautorzy prac naukowych. Potem Mielnikow stał na czele Dyrekcji Północnej ds. budowy kolei Petersburg-Moskwa, Kierbedziowi zaś powierzono budowę, według własnego projektu, mostu przęsłowego (łukowego) z żeliwa – pierwszego stałego mostu przez Newę w Petersburgu.



Przedsięwzięcie było ryzykowne ze względu na warunki budowy: głęboka na 12 m rzeka, silny prąd, kra w zimie, cofanie wód morskich, a także konieczność pozostawienia drożności rzeki dla potrzeb komunikacyjnych. Decyzja o budowie i powierzeniu jej Stanisławowi Kierbedziowi została podjęta bezpośrednio przez cara Mikołaja I. Budowa trwała w latach 1844-1852. Petersburg zyskał most o długości 342 m i szerokości 20 m, z lanego żelaza o siedmiu przęsłach stałych i jednym zwodzonym. Nazwano go Most Błagowieszczański (potem przemianowano na Mikołajewski). W dniu otwarcia mostu (18.11.1850 car udekorował inż. Kierbedzia specjalnie wybitym medalem i mianował generałem-majorem. Wzniesienie pierwszego stałego mostu przez Newę było wyjątkowym zdarzeniem w życiu Petersburga i jego mieszkańców. Góry granitu zostały przerzucone tutaj z Finlandii, a maszyny parowe wbijały pale w środku bystrej i głębokiej Newy, podczas gdy pod wodą urządzone były mocne fundamenty kamienne na umocnionym przez pale gruncie.

W latach 1852-1859 Kierbedź budował mosty stalowe na Dźwinie i Łudze; w 1859 r. rozpoczęto budowę stałego mostu żelaznego na Wiśle w Warszawie – u wylotu Nowego Zjazdu – zburzony przez

Niemców w 1944 r. (budowa stałego mostu została uchwalona jeszcze przez Sejm Czteroletni). Stanisław Kierbedź został zastępcą do spraw technicznych naczelnika Zarządu Budowy Mostu Stałego gen.-adiutanta hr. Kotzebue. Most został ukończony w 1864 r. i oficjalnie nazwany Mostem Aleksandryjskim, ale powszechnie był zwany Mostem Kierbedzia. Obecnie w tym samym miejscu jest Most Śląsko-Dąbrowski. W 1863 r. Kierbedź został odwołany do Petersburga na stanowisko członka Rady Ministerstwa Komunikacji a dziewięć lat później prezesem budowy portów w Kronsztadzie i Petersburgu. W latach 1873-74 kierował kanałami między tymi miastami. W 1891 r. Stanisław Kierbedź podał się do dymisji i zamieszkał na stałe w Warszawie. Zmarł 19.04.1899 r. Wdowa po nim, Eugenia, ofiarowała w 1914 r. gmach przy ul. Koszykowej w Warszawie na rzecz organizującej się Biblioteki Publicznej.

W dniu 12.08.2007 r. w Petersburgu odbyła się wielka uroczystość: po prawie dwuletniej przebudowie otwarto odnowiony Błagowieszczeński most, łączący Wyspę Wasylewską z centrum miasta, zbudowany przez naszego rodaka – Stanisława Kierbedzia. Mimo iż Kierbedź osiągnął wysokie stanowiska, to nigdy nie zapomniał o swym pochodzeniu. Jego dom w Petersburgu był ośrodkiem Polonii, a w pracy zawodowej starał się otaczać współpracownikami pochodzenia polskiego.

Słowiński Park Narodowy

(kaszb. *Słowińszci Nôrodný Park*)

Utworzony został w 1967 r. rozporządzeniem Rady Ministrów z 23.09.1966 r. (które weszło w życie 1.07.1967 r.). Jest on położony w środkowej części polskiego Wybrzeża, w województwie pomorskim. Obejmuje Mierzęję Łebską, Nizinę Gardieńsko-Łebską, morenę czołową z najwyższą kulminacją 115 m n.p.m. na wzgórzu Rowokół oraz szereg jezior: Łebsko (71,4 km²), Gardno (24,5 km²), Jezioro Smołdzińskie (43 ha), Dołgie Wielkie (156 ha) i Dołgie Małe (6,3 ha). Osobliwością jezior przymorskich są okresowe wlewy wody morskiej podczas silnych sztormów. Przez teren Parku przepływa siedem rzek, z których największe to Łeba wpadająca do jeziora Łebsko i Łupawa uchodząca do jeziora Gardno. Na obszarze Parku utworzono dwanaście rezerwatów ścisłych i trzy częściowe. W 1977 r. został on włączony przez UNESCO do sieci Światowych Rezerwatów Biosfery M&B, a w 1995 r. wpisany na listę terenów chronionych konwencją ramsarską o obszarach wodno-błotnych o międzynarodowym znaczeniu przyrodniczym. Charakterystycznymi elementami Parku są przymorskie jeziora, bagna, łąki, torfowiska, nadmorskie bory i lasy, a przede wszystkim wydmy pas mierzei z ruchomymi wydmiami. Sklasyfikowano tu około 260 gatunków ptactwa, z czego połowa to ptactwo wodne i błotne. Ogółem w Parku występuje około 850 gatunków roślin naczyniowych, z których 49 zaliczanych jest do chronionych. Ponadto występuje tu około 500 gatunków glonów, a kilkadziesiąt ma tu swoje jedyne stanowisko. Najważniejszymi zwierzętami Parku są ptaki. W bezpośrednim jego sąsiedztwie warte zwiedzenia są m.in. Muzeum Przyrodnicze w Smołdzinie oraz Filie Muzeum w Rąbce i Rowach, a także miejscowości: Gardna Wielka, Izbica, Smołdzino, Łeba i Rowy. Turystom polecane są liczne szlaki piesze, rowerowe i kajakowe. Można również odbyć wycieczkę statkiem po jeziorze Łebsko.



Wydma Czołpińska w Słowińskim Parku Narodowym.
Fot. Piotr Dacko

Grzegorz Pisarski

O Twierdzy Kłodzkiej w „Zeszytach Muzeum Ziemi Kłodzkiej”

Dziesiąty, jubileuszowy, tom „Zeszytów Muzeum Ziemi Kłodzkiej” spina ćwierćwiekowy okres ukazywania się tego wszechstronnego tematycznie regionalnego periodyku naukowego. Choć nie jest to pierwsze czasopismo o tym charakterze w panoramie czasopism regionu kłodzkiego, to okres jego wydawania przypadł na czas wielkiej nowej rewolucji technicznej, a zwłaszcza teleinformatycznej końca drugiego tysiąclecia. Dobrodziejstwa owych przemian doceniają nie tylko autorzy artykułów na etapie kwerendy źródłowej i redagowania tekstu, ale także wydawcy na etapie korekty redakcyjnej, składu tekstu i doboru materiału ilustracyjnego, mamy nadzieję, że docenią to i czytelnicy.

I chociaż, układ tego tomu nie odbiega w niczym od wypracowanego i sprawdzonego od lat porządku, to niewątpliwie kluczem tematycznym stał się blok forteczny. Przyczyn było wiele, ale najważniejszym powodem była dwusetna rocznica oblężenia pruskiej twierdzy w Kłodzku przez wojska napoleońskie, działające na obszarze śląskiego teatru działań wojennych w ramach struktury wojskowej Związku Reńskiego od listopada 1806 do czerwca 1807 r. Przy licznie zgromadzonej publiczności w sali Biblioteki Naukowej Muzeum Ziemi Kłodzkiej zapanowała atmosfera skupienia, któremu sprzyjały różnorodne formy przekazu audiowizualnego, a głównie multimedialnego. Wygłaszający swoje referaty zadbali jednak przede wszystkim o właściwy przekaz bezpośredni przybliżając dzieje twierdzy kłodzkiej z przełomu XVIII i XIX stulecia.

Wnikliwego wprowadzenia do zagadnienia konfliktu zbrojnego Prus i napoleońskiej Francji dokonał Jerzy Maroń z Instytutu Historycznego Uniwersytetu Wrocławskiego. Posłużył się w tym celu przedstawieniem charakterystyki środkowoeuropejskiego teatru działań wojennych, wychodząc z przesłanek teoretycznych klasyki strategii i taktyki wojskowej z tej epoki, którym był, zmarły we Wrocławiu, Karol Filip Bogumił von Clausewitz (1780-1831). Drugim filarem tego wystąpienia okazały się doraźne dążenia cesarza Francuzów, Napoleona I, które da się porównać ze strategią wojny błyskawicznej Niemiec z początków II wojny światowej. Zbliżenie ogólnych warunków odbywania kampanii na Dolnym Śląsku uzupełniło zarysowe przedstawienie przebiegu wypadków wojennych na terenie pozostałych części Prus, w skład których wchodziły od trzeciego rozbioru Polski Prusy Południowe z Poznaniem i Warszawą oraz Prusy Nowoschodnie z Białymstokiem. Zgoła odmienny charakter przypadł kampaniom śląskim 1813 r., kiedy to zdruzgotana kampanią w Rosji armia napoleońska właśnie przez Śląsk wycofywała się ku zachodowi Europy doznając kolejnych klęsk. Opracowanie Maronia ukazuje z europejskiej perspektywy przesłanki ówczesnej polityki, globalnego spojrzenia na rolę poszczególnych regionów, a taką rolę właśnie odgrywa region kłodzki, tzn. pomiędzy ewangelickimi Prusami a katolicką Austrią.

W dalszej części dwóch badaczy historii fortyfikacji – Grzegorz Podruczny i Marcin Wichrowski, zaprezentowało, dotąd niewykorzystane przez naukę, źródła dotyczące umocnień i zasad korzystania z twierdzy kłodzkiej, które przechowuje Biblioteka Państwowa w Berlinie. Wielka zaleta ich opracowania tkwiła we wspaniałej wizualizacji. Zreprodukowane plany twierdzy z przełomu XVIII i XIX w. pokazały, w jakim stopniu fryderycjańska „Festung Glatz” musiała stanąć wobec wymagań nowszej technologii artyleryjskiej, techniki rozpoznania pola walki oraz zmiany społecznych stosunków w szeregach armii rewolucyjnej Francji. Czas omawianego konfliktu ukazał rolę współdziałania dużych formacji sił zbrojnych.

Dwa ostatnie materiały tego bloku przybliżają szczegóły działań wojennych w ramach oblężenia twierdzy kłodzkiej wiosną 1807 r. Wówczas uwidocznił się wspomniany element współdziałania nie tylko różnych rodzajów wojsk, ale także różnych formacji narodowych: bawarskich, francuskich, heskich, wirtemburskich, saskich, westfalskich i polskich. Walorem źródłowym może być polski tekst kapitulacji Kłodzka, po raz pierwszy publikowany w literaturze historycznej. Drugi materiał zaznajamia czytelników z sylwetkami komendantów twierdzy w Srebrnej Górze, współdziałającej militarnie w systemie pruskiej obrony prowincji, jako ostatniej z twierdz na szlaku wojennym ośmiu miast fortecznych Śląska. Można zadać sobie pytanie, czy obejmowanie stanowiska komendanta twierdzy nobilitowało przedstawicieli pruskiego korpusu oficerskiego czy – wręcz przeciwnie – stawało się odseparowaniem ich od możliwości dalszego bieżącego wpływu na oblicze armii.

Kolejnym zeszytem liczymy na rozbudzanie i rozwijanie pasji historycznych czytelników w każdym wieku.

Od Redakcji: Nasz wielokrotny autor jest przewodniczącym Kolegium redakcyjnego „Zeszytów Muzeum Ziemi Kłodzkiej”.

.....

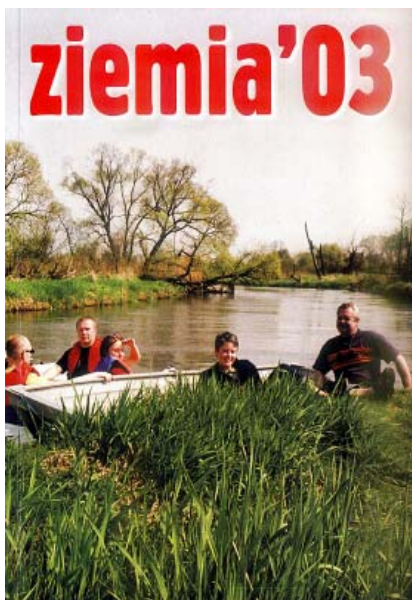
Andrzej Wielocha

„Ziemia” w zasięgu ręki

Z okazji przypadającego w tym roku jubileuszu 100-lecia „Ziemi”, czasopisma będącego przez lata organem Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego i niezwykle zasłużonego dla krajoznawstwa, wspaniałą niespodziankę przygotowała Centrala Biblioteka PTTK im. K. Kulwiecia, umieszczając w internecie całą jego zawartość. A jest to nieoceniona kopalnia wiedzy krajoznawczej o Polsce. Dość powiedzieć, że w „Ziemi” publikowali tacy autorzy, jak Jan Bystroń, Mieczysław Orłowicz, Henryk Gąsiorowski, Ludomir Sawicki, Zygmunt Gloger i wielu, wielu innych. Każdy numer wydawanego od 1910 r. czasopisma w postaci pliku PDF jest dostępny na stronie www.bibliotekapttk.pl. Umieszczona jest tam też przeglądarka umożliwiająca odnalezienie potrzebnego artykułu po jego tytule, nazwisku autora lub dacie wydania. Tu warto przypomnieć, że w 1997 r. Wydawnictwo PTTK „Kraj” wydało bibliografię zawartości „Ziemi” za lata 1910-1950, która znakomicie ułatwiła przeszukiwanie jej opasłych roczników.

Pierwszy numer „Ziemi” ukazał się z datą 1.01.1910 r., nosił podtytuł „Tygodnik krajoznawczy ilustrowany” i liczył 16 stron. W winiecie ani tego, ani następných numerów nie było nic o Polskim Towarzystwie Krajoznawczym, mimo że walne zebranie członków PTK w dniu 27.02.1910 r. podjęło jednomyślnie uchwałę o uznaniu „Ziemi” za organ Towarzystwa. Wynikało to z przyczyn politycznych i obawy przed działaniami represyjnymi władz zaborczych. Inicjatorem pisma był Kazimierz Kulwieć, wówczas wiceprezes Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, który prywatnie uzyskał od władz carskich koncesję na jego wydanie. Redakcję „Ziemi” tworzył zespół, w skład którego weszli: Kazimierz Kulwieć, redaktor i zarazem wydawca, Stanisław Thugutt, sekretarz redakcji, oraz Mikołaj Wisznicki, ilustrator i kierownik artystyczny pisma.

Wybuch I wojny światowej przerwał wydawanie „Ziemi”. Ostatni, 32. zeszyt, opatrzony został datą 8.08.1914 r. Kolejny ukazał się dopiero po pięciu latach 30.08.1919 r., oznaczony jako numer łączony 33-35. Redakcja, z powodu trudności wydawniczych i finansowych, zapowiedziała w nim konieczność rezygnacji z tygodniowego systemu wydawania czasopisma. Do końca 1919 r. zdołano wydać zaledwie dwa kolejne zeszyty (36-43 z datą 31. października oraz 44-52 z datą 31. grudnia). Numery wydane w 1919 r. redagował Edward Maliszewski. Wydawcą pierwszego z nich był Kazimierz Kulwieć, a następnego już oficjalnie umieszczone w stopce Polskie Towarzystwo Krajoznawcze. Od 1920 r. „Ziemia” zaczęła wychodzić jako miesięcznik, ale udało się wydać tylko pięć zeszytów. Dzięki dotacji państwowej od 1922 r. czasopismo ponownie zaczęło wychodzić, ale już jako miesięcznik. Polskie Towarzystwo Krajoznawcze powołało specjalny komitet redakcyjny, w skład którego weszli m.in. Włodzimierz Antoniewicz, Jan Bystroń, Jan Czekanowski, Bronisław Gembarzewski, Bolesław Hryniewiecki, Aleksander Janowski, Kazimierz Kulwieć, Mieczysław Limanowski, Eugeniusz Romer, Władysław Semkowicz, a redaktorem „Ziemi” został ponownie Kazimierz



Kulwiec. Zapowiedziano wydawanie numerów monograficznych.

Od stycznia 1926 r. „Ziemia” ponownie zmieniła cykl wydawniczy stając się dwutygodnikiem, w podtytule pojawiła się wreszcie formuła „organ Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego”, a redaktorem został Aleksander Janowski, by w 1927 r. przekazać tę funkcję Reginie Danysz-Fleszarowej. Od 1929 r. „Ziemia” dzięki współpracy z Jerzym Remerem, pełniącym funkcję naczelnego konserwatora, wychodziła z dodatkiem zatytułowanym „Wiadomości konserwatorskie”, funkcję redaktora pełnili kolejno Konrad Górski, Jerzy Remer i ponownie Aleksander Janowski. Od 1932 r. czasopismo po raz kolejny zmieniło częstotliwość stając się miesięcznikiem. Od 1934 r. redaktorem był Aleksander Patkowski. W 1939 r. jako ostatni ukazał się nr 7, a następne dziewięć numerów dopiero w 1946 r. pod redakcją Stanisława Lenartowicza. W 1947 r. redaktorem naczelnym został Franciszek Uchorczak, a redakcja przeniosła się do Krakowa. W 1949 r. redakcja ponownie znalazła się w Warszawie, a na czele komitetu redakcyjnego stanął ówczesny prezes ZG PTK

Stanisław Leszczycki, którego pod koniec roku zmienił Marek Arczyński, kierujący komitetem redakcyjnym aż do ostatniego numeru pisma wydanego w grudniu 1950 r. Rok 1950 zamknął epokę ukazywania się „Ziemi” w Polskim Towarzystwie Krajoznawczym, jako że połączyło się ono z Polskim Towarzystwem Tatrzańskim w jedną organizację – Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze. W latach 1956-1958 stała się „Ziemia” Ilustrowanym Miesięcznikiem Krajoznawczym, wydawanym przez Państwowe Wydawnictwo Naukowe jako organ Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego wychodzący pod redakcją Przemysława Burcharda, z Markiem Sobolewskim jako przewodniczącym komitetu redakcyjnego. Pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1956 r.

Od numeru 4(18) z 1958 r. jej wydawcą stało się już bezpośrednio Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze, jednak nie na długo, ponieważ numer 10-11(24-25) za październik-listopad był ostatnim. Po ośmioletniej przerwie od 1965 r. „Ziemia” została wznowiona jako rocznik, w latach 1965-1972 wydawany przez Wydawnictwo „Sport i Turystyka”, ale sygnowany przez Zarząd Główny PTTK. Dopiero od rocznika 1973-74 wydawcą „Ziemi” stał się Zakład Wydawniczo-Propagandowy PTTK, a następnie wydawnictwo PTTK „Kraj”, które wydawało ją, w zasadzie jako rocznik, choć w latach 1973-74 i 1975-76 wydano roczniki podwójne – aż do 1985 r. W skład komitetu redakcyjnego pierwszego wydanego przez „Kraj” rocznika „Ziemi” wchodziła Maria Irena Mileska (przewodnicząca), Marek Arczyński, Ryszard Cetnarski, Władysław Olendzki, Janusz Grzybowski, Wojciech Militz, Zbigniew Tomkowski, Jacek Węgrzynowicz, a redaktorem naczelnym był Zbigniew Tomkowski.

Od rocznika 1977 skład komitetu redakcyjnego uległ zmianie – jego przewodniczącym został Tadeusz Rycerski, zaś w składzie znaleźli się Jerzy Biernacki, Tomasz Chłudziński, Andrzej Gordon, Jerzy Grzeszczak, Franciszek Midura, Janusz Rygielski, Krzysztof Szymborski, Jan Tyszkiewicz, Janusz Żmudziński. Redaktorem naczelnym był Janusz Żmudziński, a sekretarzem redakcji Jerzy Biernacki. Od tomu za rok 1983 w składzie komitetu redakcyjnego nastąpiła jeszcze jedna zamiana, na miejsce Jerzego Grzeszczaka wszedł Krzysztof Przeclawski. W 1985 r. Wydawnictwo PTTK „Kraj” wydało ostatni tom „Ziemi”, co nie znaczy, że był to koniec tego czasopisma.

Po przerwie w 1990 r. ukazał się rocznik „Ziemi” poświęcony IV Kongresowi Krajoznawstwa Polskiego, a po kolejnej przerwie rocznik 98 wydany przez zespół redakcyjny w składzie: Andrzej Gordon, Franciszek Midura, Wojciech Kuczkowski, Jerzy Jurczyszyn. W 1999 r. ukazał się kolejny tom „Ziemi” a w składzie redakcji Wojciecha Kuczkowskiego zastąpiła Elżbieta Matusiak-Gordon. W 2000 r. ukazały się dwa tomy – jeden zatytułowany „Ziemia 1910-2000” wydany przed Kongresem i drugi „Ziemia. V Kongres Krajoznawstwa Polskiego”, wydany po Kongresie. Obydwa opracowane były przez ten sam zespół redakcyjny, który także redagował „Ziemię” przez następne trzy lata wydając roczniki 2001, 2002 i 2003. Ostatnim rocznikiem „Ziemi”, jaki się do tej pory ukazał, był okolicznościowy tom z okazji 100-lecia Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego wydany w 2006 r.

Przez sto lat na kartach „Ziemi” zamieszczali swoje teksty najlepsi przedstawiciele kilku pokoleń krajoznawców polskich, dzięki czemu jej roczniki stały się kopalnią krajoznawczej wiedzy o naszym kraju, prawdziwą skarbnicą, której nie sposób przecenić. Dziś, dzięki internetowi, każdy może z niej korzystać do woli, mając w zasięgu ręki, bez wychodzenia z domu, komplet jej roczników do dyspozycji. Czy potrafimy to docenić?

Krzysztof Tęcza

OKP stopień brązowy – Poznań i WPN

Tym razem postanowiłem zaliczyć Poznań oraz Wielkopolski Park Narodowy. Zdecydowałem się akurat na ten teren, gdyż w kwietniu ub. r. podczas pobytu na Forum Instruktorów Krajoznawstwa w Poznaniu miałem możliwość zwiedzenia wielu z obiektów wymaganych do OKP. Byłem więc na bieżąco. Wyruszyłem w nocy i po kilku godzinach dotarłem do Poznania. Niestety, znalezienie tu miejsca do zaparkowania auta jest bardzo trudne, dlatego też zostawiłem je nieco poza centrum i dalej podjechałem tramwajem. Dotarłem na pl. Adama Mickiewicza. Po dokładnym obejrzeniu usytuowanych tu pomników zacząłem szukać jakiejś pieczątki. Jak to wszakże na placu, nie było gdzie jej dostać. Wszystko pozamykane. Powędrowałem dalej i po drugiej stronie ulicy otrzymałem pieczątkę w kasie Teatru Animacji. Zaraz też dotarłem do kościoła farnego św. Stanisława. Tutaj pieczątkę dostałem bez problemu. Za to trafiłem na nieco zabawne zdarzenie. Do świątyni zapędził się gołąbek. Grupka dzieci pod wodzą zakonnicy próbowała go schwytać. Nie wiem, czy im się udało, bo po kilkunastu minutach uznałem, że trzeba ruszać dalej. Wzgórze Św. Wojciecha to bardzo ciekawe miejsce. Bez problemu zwiedziłem kościół i poszedłem na parafię po pieczątkę. Dostałem aż dwie: jedną zwykłą, drugą ozdobną. A do tego zaraz mogłem zejść do Krypty Zasłużonych Wielkopolan.

Teraz wyruszyłem na Wzgórze Winiarskie, gdzie znajdują się pozostałości po Cytadeli. Po zaliczeniu 115 schodów zwiedziłem Muzeum Uzbrojenia. Pan z obsługi w krótkiej rozmowie udzielił mi kilku rad co do zwiedzania terenu wokół, tak że nie miałem najmniejszego problemu ze spacerem po tym stuhektarowym parku. Warto tu zajrzeć do Muzeum Armii „Poznań”. Kolejna świątynia, do której dotarłem, to Archikatedra świętych Piotra i Pawła. Teren wokół niej jest przygotowany nie tylko na dziesiątki samochodów, ale też na postój autokarów. A pieczątkę posiada pani wewnątrz obiektu na stoisku z pamiątkami. W kościele Św. Jana Jerozolimskiego trafiłem na zamknięte drzwi, ale przy jednej z figur pracowali jacyś ludzie. Powiedzieli, że na plebani jest pani Maria, gospodyni księdza, która może mi pomóc. Okazała się ona bardzo miłą starszą panią. Nie tylko otworzyła mi kościół, ale także oprowadziła mnie i opowiedziała wiele ciekawych rzeczy. Aż byłem zaskoczony jej wiedzą. Na koniec pani Maria, widząc moje zainteresowanie, chciała dla mnie podnieść obraz Serca Jezusowego zasłaniający Święty Krzyż, ale, niestety, czy to z braku prądu, czy też z powodu mojej małej pobożności nie udało się. Szkoda. Teraz musiałem poczekać około pół godziny na pieczątki, bo okazało się, że ksiądz właśnie zasiadał do obiadu i, jak to dobra gospodyni, pani Maria nie pozwoliła przeszkadzać w konsumpcji. Ale i tak jestem bardzo zadowolony z tego, co mi pokazała.

Dla odmiany przejechałem do kościoła Nawiedzenia NMP na Ratajach. Mówię: dla odmiany, ponieważ jest to nowy obiekt postawiony w końcu lat 70. XX w. Może ktoś powie: a cóż to za zabytek. Pomylił się jednak. Obiekt ten bowiem naprawdę wywiera niesamowite wrażenie swoim ogromem. Zarówno z zewnątrz, jak i wewnątrz. Wystarczy wspomnieć o ponad tysiącu okien, jakie wmontowano w nim. A żeby nie było to tylko takie ogólne, to na rozmowę z księdzem, który dał mi pieczątki, wjechałem windą aż na VII piętro. Po tak pracowicie spędzonym dniu pojechałem do schroniska PTSM, gdzie za jedyne 35 zł dostałem pokój i mogłem odpocząć.

Następnego dnia udałem się do Muzeum Instrumentów Muzycznych. Niestety, było ono zamknięte na cztery spusty. Po chwili znalazłem otwarte drzwi z bocznej ulicy, ale jak tylko wszedłem, wyskoczył strażnik i zagroził mi drogę. Okazało się, że zapomnieli zamknąć wejście służbowe. Dowiedziałem się, że Muzeum w dniu dzisiejszym będzie czynne dopiero od godz. 17. Poszedłem więc do Muzeum Narodowego, a tam to samo. Byłem niemiłe zaskoczony. Burzyło mi to bowiem cały mój plan. Poprosiłem więc kogoś, aby mi wytłumaczył, dlaczego bez uprzedzenia zamyka się muzea. Okazało się, iż dzisiaj będzie miało miejsce wydarzenie pod nazwą „Noc Muzeów”. Coś dziwnego. Logicznie powinno być tak, że muzea są czynne tak jak zawsze, a później jest impreza. A tu okazało się, że wszystkie muzea biorące udział w tej akcji, bez żadnej informacji, są nieczynne. Paranoja, prawda? No ale nic, musiałem dostosować się do tej nowej sytuacji. Przejechałem nad Jez. Maltańskie, a po spacerze dotarłem do stacji kolejki parkowej „Maltanka”. Mają tam nawet ładną pieczątkę. Wykupiłem bilet i udało mi się pojechać kolejką ciągnioną przez zabytkowy parowóz „Borsig” z 1925 r., bowiem nie wszystkie kursy są obsługiwane tym parowozem. I tak dotarłem do nowego Ogrodu Zoologicznego. Ale tutaj ułatwiłem sobie nieco zwiedzanie, bo wsiałem do wagonu ciągniętego przez traktor. I w ten oto niemęczący sposób zwiedziłem cały ogród. Prowadzący traktor robił co jakiś czas przystanki i dawał czas na podejście w ciekawsze miejsca.

Po tak komfortowym zwiedzaniu przybyło mi sił i powróciłem do Muzeum Instrumentów Muzycznych. Było już czynne, nawet panował niezły ruch. Ale spotkała mnie nagroda za to, co było rano: rozdawano bilety bezpłatne. Przeszedłem zaraz do Muzeum Historii Miasta w ratuszu. Mają bardzo ładną pieczętkę. I następnie do Muzeum Narodowego. Gdy dochodziłem, ujrzałem niezły tłumek przy wejściu. Okazało się, że mieszkańcy całymi rodzinami postanowili zobaczyć to, na co najczęściej w normalne dni nie mają czasu. Większość z tych oczekujących starała się dostać do sali z wystawą czasową „Grafiki Rembrandta. Oryginał. Kopia. Późne odbitki.” Gdy wyszedłem na dwór, przeraziłem się. Kolejka chętnych do wejścia była olbrzymia. Jeśli można to nazwać kolejką. Widać było tłum ludzi, dosłownie po cztery, pięć osób obok siebie, wzdłuż całej fasady budynku, a przecież nie należy on do małych. Ciągnęła się ona jeszcze daleko, daleko za rogiem. Dotarło do mnie, że gdybym dotarł tutaj choćby o godzinę później, to stałbym w tej kolejce do północy. Miałem niesamowite szczęście! Bez dalszej zwłoki poleciałem na Górę Przemysła do Muzeum Sztuk Użytkowych (Zamek Królewski), później obejrzałem Makietę dawnego Poznania i zwiedziłem Sanktuarium MB W Cudy Wielmożnej Pani Poznania, gdzie porozmawiałem sobie trochę z zakonikiem. Ponieważ zrobiło się już bardzo późno, przejechałem jeszcze pod Arenę, aby obejrzyć ponoć słynną halę widowiskowo-sportową. Faktycznie robi wrażenie, ale nie wiem: większe jako obiekt czy jako obraz rozpaczy. Niestety, wszystko było pozamykane, ale udało mi się przywołać kogoś z ochrony i dzięki jego uprzejmości mogłem zobaczyć obiekt wewnątrz. O pieczętkę mogłem jednak zapomnieć. Na szczęście okazało się, że obok znajduje się inny obiekt, do którego ciągle ktoś wchodzi. Poszedłem więc tam i dostałem pieczętkę o treści „Centrum Tenisowe Arena w Poznaniu”. Na nocleg dotarłem prawie o północy.

Z samego rana zwiedziłem ostatni obiekt Poznania, którym okazała się Palmiarnia. Bez problemów. Teraz wyruszyłem na „podbój” Wielkopolskiego Parku Narodowego. Według regulaminu jest tam do zwiedzenia pięć obiektów. Ponieważ niedawno tu byłem, szybko dotarłem do Muzeum Przyrodniczego. Potem udałem się szlakiem turystycznym nad Jez. Góreckie, a następnie nad Jez. Kociołek, by dotrzeć do Studni Napoleona. Muszę przyznać, że gdyby mi wcześniej nie pokazano tego obiektu, to pewnie przeszedłbym obok nie zwracając nawet na niego najmniejszej uwagi. Są to bowiem zwykle betonowe kręgi studzienne z pokrywą zamkniętą na kłódkę. Po powrocie do samochodu ruszyłem zgodnie ze wskazówkami otrzymanymi w Muzeum na poszukiwania jedyne go nieznanego przeze mnie obiektu, jakim był rez. „Pojniki”. Samochód zostawiłem na poboczu w miejscu wskazanym przez kierujących mnie i po kilkunastu minutach dotarłem do celu. No prawie, stanąłem bowiem przed czerwoną tablicą z napisem: *Rezerwat Pojniki. Wstęp wzbroniony*. I co teraz? Dylemat. Iść dalej czy nie. Zdecydowałem, że przejdę parę metrów, tak by zobaczyć, o co chodzi w tym rezerwacie. I dzięki temu wiem, że w chwili obecnej nie ma tu wody. Muszę przyznać, że nie byłem pewny, czy uda mi się w trzy dni zrealizować tak napięty program, ale udało się. Myślę jednak, iż udało się tylko dlatego, że prawie wszystkie obiekty odwiedzałem już po raz kolejny i byłem dobrze zorientowany, co i jak. Normalnie jednak trzy dni to chyba nieco za mało na taką wycieczkę.

Od Redakcji: *Zdobywanie Odznaki Krajoznawczej Polski, jak zresztą każdej innej, nie polega na pościgu za obiektami kanonicznymi i zdobywaniu pieczętek – co jest najłatwiejszym sposobem dokumentowania. Istnieje zalecana nawet możliwość prowadzenia własnych opisów, rysunków, planów, zamieszczania własnych fotografii, folderów itp.*



„Na Szlaku” – miesięcznik turystyczno-krajoznawczy.

Czasopismo Oddziału Wrocławskiego PTTK,
odznaczone Złotą Honorową Odznaką PTTK.

Redaktor Naczelny: **Krzysztof R. Mazurski**

Sekretarz Redakcji: **Andrzej Rumiński**

Zespół Redakcyjny: **Wojciech Radliński**

Redakcja techniczna, łamanie i opracowanie graficzne: **Piotr Dacko**

Stale współpracują: **Henryk Paciej, Juliusz Wysłouch**

Adres Redakcji: Rynek-Ratusz 11/12, 50-106 Wrocław, tel. 71 343 03 44

ISSN 1230-9931



Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji tekstów, przyjmowanych wyłącznie w formie elektronicznej. Materiałów nie zamówionych Redakcja nie zwraca i nie stosuje honorariów za opublikowane. Przedruki tylko za podaniem źródła. Umieszczanie banerów na stronie domowej magazynu i reklam wewnątrz numerów na odrębnie uzgadnianych zasadach.

Za treść reklam Redakcja nie odpowiada.

Redakcja będzie wdzięczna za wpłaty w formie darowizny na dobro czasopisma dokonywane na konto Oddziału Wrocławskiego PTTK w BZ WBK SA Oddział Wrocław nr 19 1090 2398 0000 0006 0827 5667 z zaznaczeniem „Na Szlaku”.

Drukowane numery archiwalne (w miarę posiadania) do nabycia w Oddziale Wrocławskim PTTK.